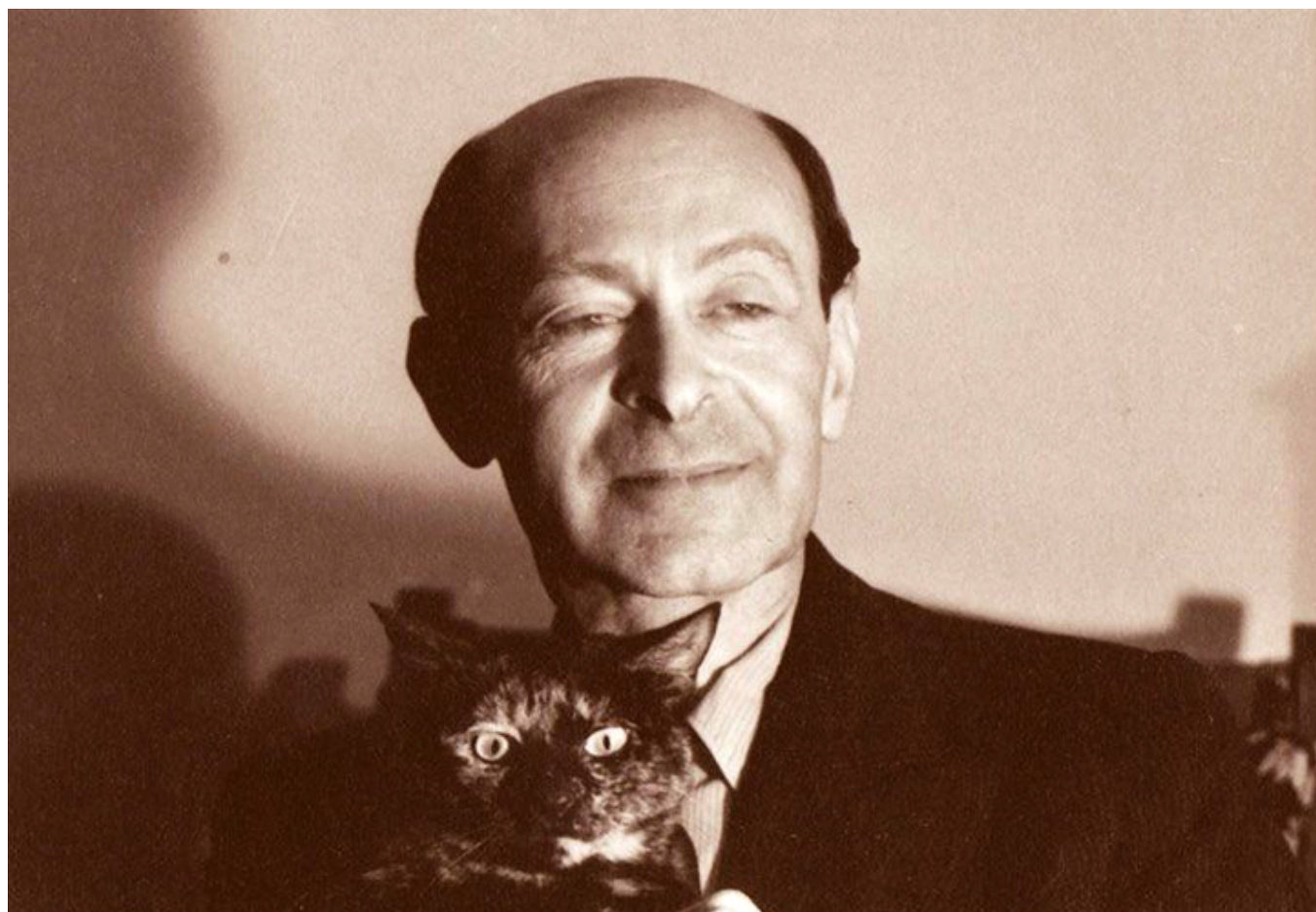


Wizyta u Józefa Wittlina (1896-1976)



Józef Wittlin, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Po raz pierwszy spotkałem się z Wittlinem omawiając w Anglii ze studentami zaleconą jako lekturę powieść „Sól ziemi”. Poznałem go więc od strony najważniejszej: jego dojrzałego dzieła. Potem wymieniałem z nim kilka listów.

Były to lata sześćdziesiąte. Redagując w Londynie miesięcznik „Kontynenty” korespondowałem z sympatykami pisma, do których zaliczał się także Wittlin. Mieszkał w Nowym Jorku i pracował w Wolnej Europie. Należał do pisarzy, którzy otarłszy się o Hiszpanię interesowali się hiszpańską literaturą. Już choćby to sprawiało, że mieliśmy wspólny temat. (Wittlin namawiał mnie do przekładania m.in. poezji Jorge Guilléna).

Oczywiście, pragnąłem drukować Wittlina, ale nie było to proste. Pisał bardzo niewiele i współpracował z paryską „Kulturą”. Również radio pochłaniało dużo jego czasu, a w zasadzie, jak wszystkim oznajmiał, pracował nad rekonstrukcją zaginionych kontynuacji jego słynnej powieści.

Młodych z zasady popierał i zależało mu na tym, by oni coś o nim wiedzieli. Pamiętam, jak wypominał mi, że pominięto go w nocie o współczesnych polskich poetach, którzy również uprawiali prozę.

Raz nawet, przelotnie, zobaczyłem go w londyńskim Ognisku Polskim. Dość, że kiedy w roku 1969 znalazłem się w Kanadzie, a

kilka lat później otrzymałem ofertę, aby na nowojorskim uniwersytecie Queen's wygłosić odczyt o literaturze emigracyjnej, skwapliwie zaproszenie przyjąłem, zapragnąłem bowiem wizytę u ujścia rzeki Hudson wykorzystać pełniej i odwiedzić mieszkającego od wielu lat w Nowym Jorku pisarza i poetę.

Wybuch drugiej wojny światowej zastał go we Francji. Przez Hiszpanię i Portugalię wyjechał w 1941 roku do Stanów Zjednoczonych i tam osiadł na stałe. Już w gimnazjum lwowskim Wittlin dał się poznać jako poeta i wcześniej nawiązał kontakty z poetami języka niemieckiego, aby przekładać ich utwory. W Wiedniu m.in. poznał Rilkego i stał się jego pierwszym tłumaczem na język polski. Wtedy też zetknął się z poezją włoską oraz zaczął tłumaczyć „Odyseję” Homera. Kiedy powstał tygodnik „Wiadomości Literackie”, stał się jego stałym współpracownikiem.

W 1920 roku wyszły jego poezje religijne „Hymny”, które miały trzy wydania. Podobnie trzy wydania, a raczej trzy wersje, miał jego przekład „Odysei”. W roku 1935 ukazała się powieść „Sól ziemi”, czterokrotnie wydana przed wojną, a tłumaczona na 13 języków, rozeszła się szeroko po świecie. W roku 1963 w Paryżu wyszedł duży tom esejów „Orfeusz w piekle”.

Do nagród polskich w roku 1943 doszło wyróżnienie przez

American Academy of Arts and Letters oraz przez *National Institute of Arts and Letters*. W roku 1971 Niemiecka Akademia Poezji i Języka wybrała go członkiem korespondentem.

Mówi się, że trudniej dzień jeden przeżyć, niż napisać księgę. Powiedzenie to nie stosuje się do sytuacji Wittlina, chociaż niejedna w przeszłości wymagała odeń wielkiego hartu ducha. Księgę napisał i to świetną i odważną, bo pacyfistyczną, kiedy moda była na mocarstwowość. Ale „Sól ziemi” miała być tylko pierwszą częścią zamierzonej trylogii o „Cierpliwym piechurze”. Szkice i rękopisy dalszych części zaginęły w Europie, kiedy autor próbował wydostać się za granicę. Pisarz usiłował później zrekonstruować brakujące partie. Nie było to łatwe: upłynęły lata, zawodziła pamięć, nie pozwalały na fuszerkę stawiane sobie surowe wymagania. Nie doczekaliśmy się kontynuacji.

Sądzę jednak, że to, co posiadamy, winno nam wystarczyć, by twórczość Wittlina ocenić wysoko. Na jakości jego powieści poznali się wytrawni krytycy i znakomici pisarze, m.in. Tomasz Mann. Także współcześni uznali rzecz za klasyczną sagę o żołnierce. Zoya Yurieff wydała po angielsku monografię pisarza „Joseph Wittlin” (Twayne, New York 1973). Autorka ze znanstwem i przekonaniem mówi o Wittlinie jako o powieściopisarzu, poecie, eseiście i tłumaczu, pragnąc przybliżyć go czytelnikowi anglosaskiemu.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.



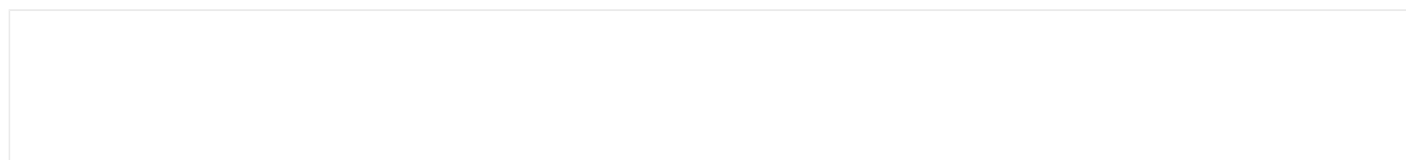
W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wittlin przyjął nas (byłem w towarzystwie profesora i pisarza Pawła Łyska i jego bratanka Jana) z wielką życzliwością. W gabinecie urządzonym ze smakiem i utrzymanym we wzorowym ładzie gospodarz usadził mnie na honorowym fotelu. Wnet zaopiekowała się nami pani Halina czuwająca nad królestwem Wittlinów z pietyzmem i dyskrecją. O czym tam nie rozmawialiśmy, by niczego nie pominąć! Teraz pamięć tej wizyty, poświadczonej fotografią z serdeczną dedykacją, potwierdza ogólnie przyjętą opinię o Wittlinie – człowieku łatwo dostrzegalną w jego dziele. Już w 1928 roku Paweł Hulka-Laskowski nazwał go „poetą pokoju i miłości”. Także określanie mianem poety cichych tonów podnosi jego delikatność,

nieśmiałość, obawę przed zgrzytem, przerysowaniem czy zgoła hałasem. We wszystkim, co wyszło spod jego pióra, widać odpowiedzialność artystyczną i moralną.

Nie wydało mi się niczym dziwnym nieodparte pragnienie, by wychodząc z jego mieszkania ująć gospodarza za rękę i pocałować ją z szacunkiem. Wittlin wyprowadził nas na korytarz. Kiedy zamknęły się drzwiczki windy, zwierzyłem się z mojego wzruszenia towarzyszom. Okazało się, że czuli to samo.

Nie bywa się codziennie u znakomitego pisarza i pięknego człowieka.

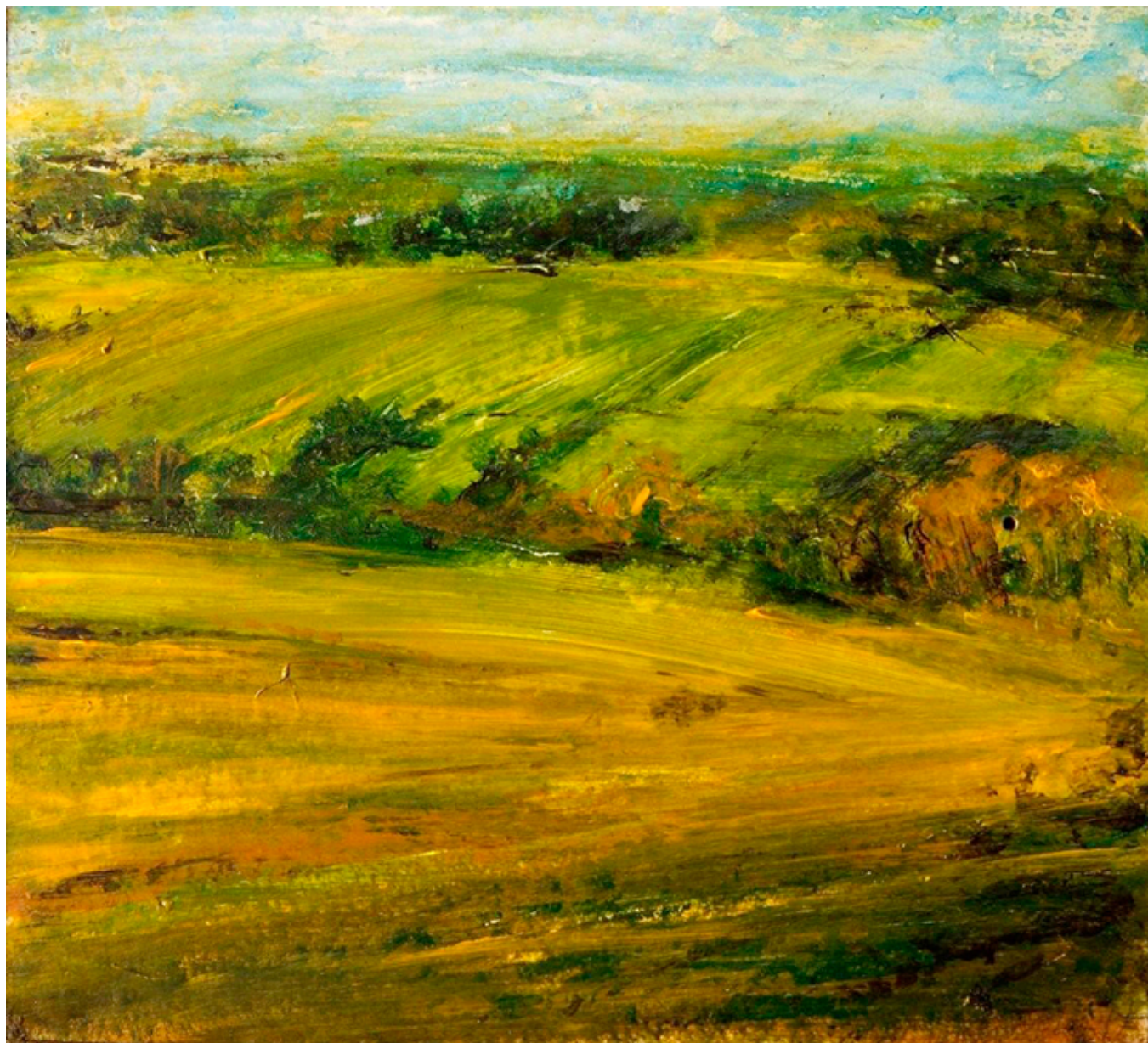


Wywiad z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina:

<http://www.cultureave.com/o-jozefie-wittlinie/>

Pomiędzy Suwalszczyzną a Paryżem

Od 15 lutego do 14 marca 2018 r. - wystawa malarstwa Witolda Urbanowicza, pallotyna z Paryża, w Mazowieckim Urzędzie Wojewódzkim w Warszawie, (Ratusz) Plac Bankowy 3/5, Wejście główne C. Organizator: Mazowiecki Instytut Kultury, koordynator wystawy Romuald Mieczkowski.



Witold Urbanowicz

Romuald Mieczkowski

Witold Urbanowicz, artysta o wszechstronnych zainteresowaniach, uczestnik i świadek działalności pallotyńskiego ośrodka Centre du Dialogue, urodził się w 1945 roku w Zarzeczu Jeleniewskim nad Czarną Hańczą na Suwalszczyźnie w rodzinie chłopskiej. Jego droga życiowa

proceeding in stages of theological education through Collegium Marianum in Wadowice (closed by the PRL authorities), Liceum Ogólnokształcące on Karowa Street in Warsaw, where he obtained his matriculation, Seminarium Duchowne in Ołtarzew near Warsaw to Paris, where he has lived since 1972.

In 1965-1967 he served his compulsory military service in the Polish People's Army, for which he had to interrupt his studies. He returned to the seminary in 1967. Already during his studies he showed artistic interests. He directed the theatre „Pallottino-Drama”, in which he staged *Day of Wrath* by Roman Brandstaetter, *Light of the Mountains*, *God Does Not Die*. He was engaged in the adaptation of *Meekness of the Lord*. In 1970 he wrote the play *As if there were no hope*, based on the novel by Antoine de Saint-Exupéry. He realised his own project of a theatre chapel. He received the permission of the bishop of Tatra. He completed the seminary in 1971 by writing a diploma thesis in the history of art and architecture under the supervision of Fr. Franciszek Makini. On 11 June 1972 he received his priestly ordination in Ołtarzew from the hands of Bishop Władysław Miziołek.



Witold Urbanowicz

W październiku tego samego roku wyjechał do Paryża, gdzie zamieszkał przy rue Surcouf 25. Pod tym adresem mieściło się Centrum Dialogu (Centre du Dialogue), które stało się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku jednym z

najważniejszych ośrodków polskiej myśli niezależnej. Kierował nim ksiądz Józef Sadzik (1933-1980), filozof, teolog, przyjaciel m.in. Czesława Miłosza, Józefa Czapskiego i wielu twórców. Jednym ze współpracowników ks. Sadzika został Witold Urbanowicz, który przyjął odpowiedzialność za techniczne i graficzne sprawy wydawnictwa i miesięcznika „Nasza Rodzina”. Jednocześnie sprawował opiekę nad drukarnią księży pallotynów w Osny koło Paryża, w której ukazywały się m.in. książki Éditions du Dialogue, wydawnictwa założonego przez ks. Józefa Sadzika.

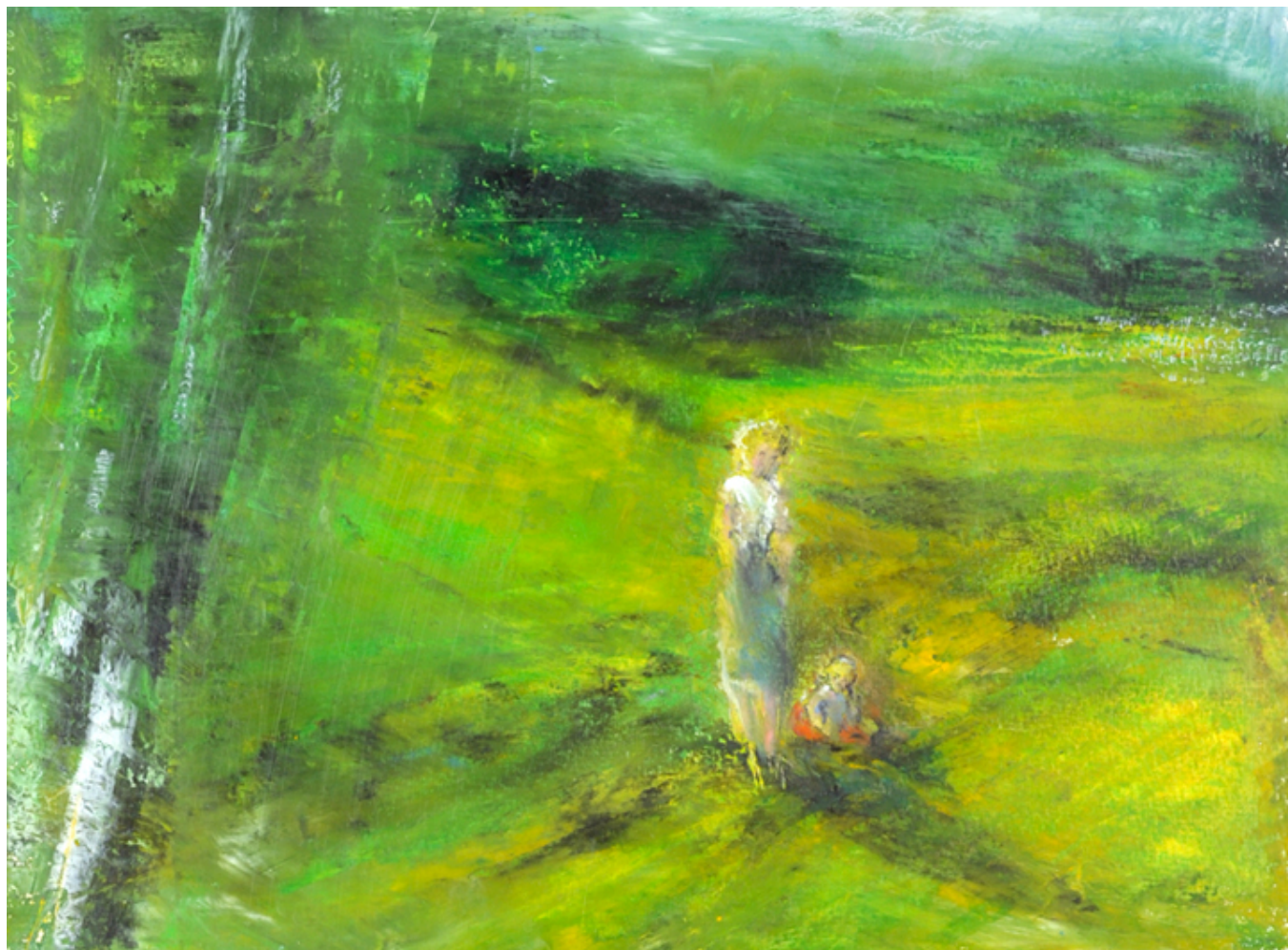
Swoją otwartością na dialog w sprawach wiary i Kościoła wyróżniała się szczególnie seria *Znaki Czasu* (około 150 tytułów), do której artysta zaprojektował wiele okładek. Wybitnym jego projektem artystycznym okazały się wydania dwóch przekładów biblijnych Czesława Miłosza: *Księgi Hioba* (1981) i *Apokalipsy* (1986), z ilustracjami Jana Lebensteina i ze wstępem ks. Józefa Sadzika.

Największym obszarem artystycznej ekspresji Urbanowicza jest malarstwo. Sceny religijne, pejzaże oraz erotyki to najważniejsze tematy w jego twórczości. Pierwsze z nich to dzieła pełne głębokiego duchowego uniesienia. W malarstwie krajobrazowym artysta powraca zwykle w swoje rodzinne strony. Inne są erotyki – najczęściej malowane przy użyciu jasnej palety barw, delikatne, pozbawione dosłowności. Odrębną dziedziną twórczej wypowiedzi jest rzeźba. Prace wykonane z kruchego,

plastycznego stopu metali uderzają ekspresją.



Witold Urbanowicz



Witold Urbanowicz

Obrazy, najczęściej są malowane akrylem na kartonach lub płytach, także pastelem, farbą witrażową bądź technikami własnymi. Witold Urbanowicz po raz pierwszy zaprezentował swoje malarstwo w 1997 roku na wystawie autorskiej pt. *Dotknięcie prochu ziemi* w Muzeum Diecezjalnym w Opolu oraz w Galerii Ośrodka Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Łodzi. W 2011 roku nakładem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego ukazał się album *Witold Urbanowicz. Artysta nienasycony*. Nadal mieszka i pracuje jako kapłan i artysta w siedzibie księży pallotynów przy rue Surcouf w Paryżu.

Na wystawie Witolda Urbanowicza w Galerii Mazowieckiej prezentowana jest nieduża część jego twórczości. Są to obrazy przedstawiające głównie pejzaże, które przedtem były pokazane na większej wystawie w suwalskim Muzeum Okręgowym, ukazującej też rzeźbę oraz dorobek artysty związany z działalnością Centre du Dialogue oraz projektowane przez niego książki.



Witold Urbanowicz



Witold Urbanowicz

O Witoldzie Urbanowiczu na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/witold-urbanowicz-polski-pallotyn-artysta-w-paryzu/>

Powrót Paderewskiego do Carnegie Hall w Nowym Jorku

A black and white portrait of Ignacy Paderewski, a Polish composer and pianist, is featured on the left side of the poster. He is shown from the chest up, wearing a dark suit and a white shirt with a bow tie. His right hand is raised to his chin in a thoughtful pose. The background of the portrait is dark and slightly blurred.

IGNACY PADEREWSKI GALA CONCERT
Maestro Returns to Carnegie Hall

**Stern Auditorium /
Perelman Stage
at Carnegie Hall**
February 21 2018 8pm

*85th anniversary of
I. Paderewski's last
concert at Carnegie
Hall, celebrating 100
years of Poland's
regained Independence*

THE BEST OF CHOPIN & PADEREWSKI
performed by award-winning pianists:

**Kevin Kenner
Szymon Nehring
Marek Bracha
Łukasz Krupiński**

TICKETS \$17.50-\$125
CarnegieCharge 212-247-7800
Box Office at 57th and Seventh
www.carnegiehall.org

Presented by Gazeta Polska Clubs in America and the Consulate General of Poland in New York

Joanna Sokołowska-Gwizdka (oprac.)

21 lutego 2018 r. w Carnegie Hall Stern Audytorium w Nowym Jorku odbędzie się prestiżowa Gala Koncert podczas, której czterech pianistów odda hołd Ignacemu Paderewskiemu. Gala

Ignacego Paderewskiego rozpocznie obchody 100. rocznicy odzyskania Niepodległości. Koncert został zorganizowany z inicjatywy Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Nowym Jorku oraz nowojorskich środowisk polonijnych.

W programie wieczoru „The Best of Chopin & Paderewski”, będzie można usłyszeć najbardziej znane i cenione utwory Fryderyka Chopina i Ignacego Paderewskiego w wykonaniu znakomitych pianistów, laureatów Międzynarodowych Konkursów Pianistycznych: Szymona Nehringa, Łukasza Krupińskiego, Marka Brachy z Polski oraz Kevina Kennera z Ameryki. 18 lutego 1933 roku miał miejsce ostatni koncert Ignacego Paderewskiego w Carnegie Hall. Po 85 latach w tej prestiżowej sali koncertowej, znów zabrzmiała muzyka wybitnego kompozytora i wirtuoza fortepianu oraz utwory z repertuaru, który wykonywał.

W Gali udział weźmie oficjalna delegacja parlamentu Polski wraz z Wicemarszałkiem Sejmu, a także Ambasador RP w USA – Piotr Wilczek, Konsul Generalny RP w NY – Maciej Golubiewski, Ambasador UE przy ONZ – Joao Vale de Almeida, Ambasador Polski przy ONZ – Joanna Wronecka, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów – Anna Maria Anders, przedstawiciele władz Nowego Jorku i dzielnic miasta NY, Ambasadorzy przy ONZ państw Rady Bezpieczeństwa, ponad 100 osób reprezentujących przedstawicielstwa przy ONZ,

Konsulowie Generalni w NY wielu krajów Europy i inni.



Carnegie Hall w Nowym Jorku.



Pianiści, na górze od lewej: Kevin Kenner i Łukasz Krupiński, na dole od lewej: Szymon Nehring i Marek Bracha, fot. facebook.

Ignacy Jan Paderewski

Urodził się w 1860 w Kuryłówce, zmarł 29 czerwca 1941 roku w Nowym Jorku. Był nie tylko wybitnym polskim pianistą, kompozytorem i profesorem konserwatorium w Warszawie, ale i działaczem niepodległościowym oraz politykiem – sprawował funkcje premiera Polski i ministra spraw zagranicznych RP.

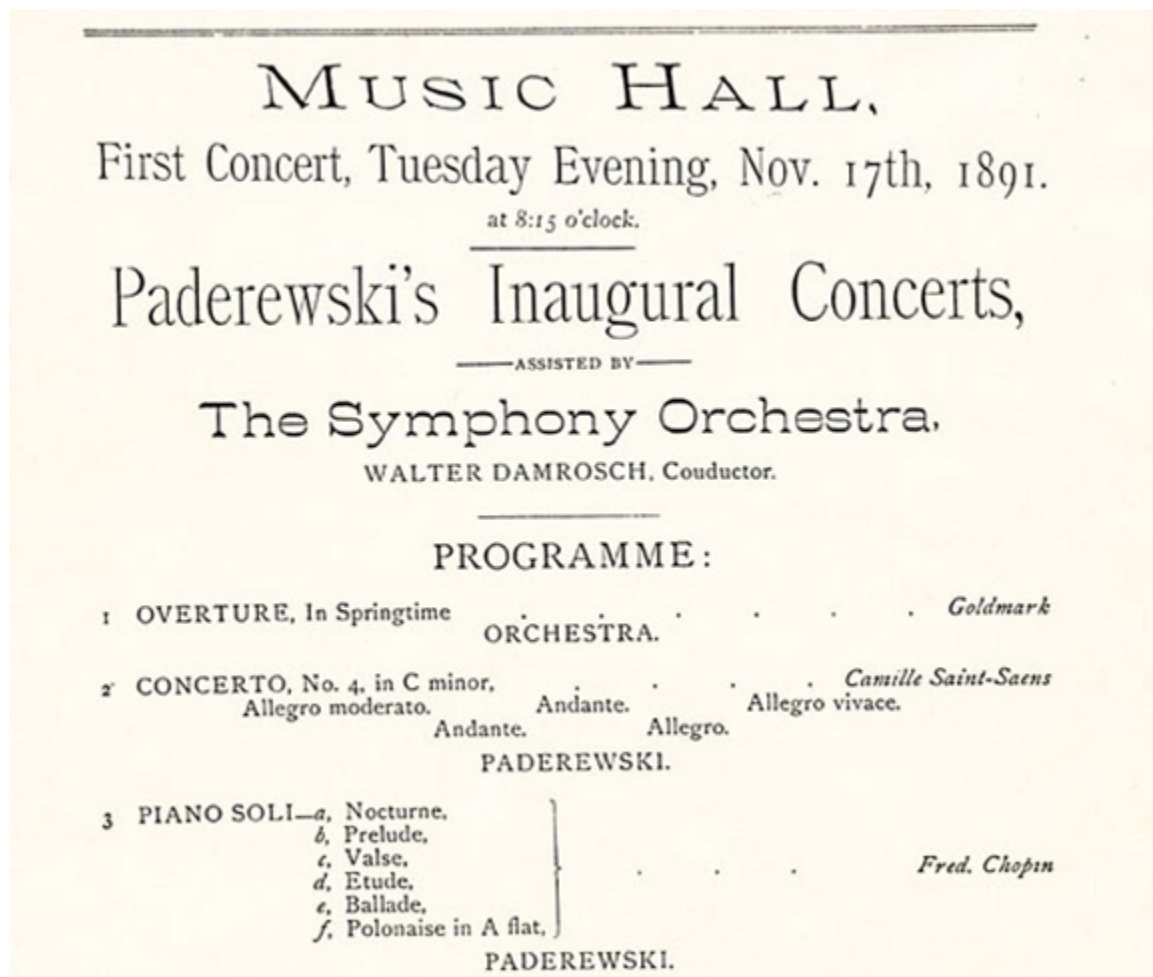
Studiował najpierw w Warszawie, a potem kontynuował naukę w Wiedniu pod kierownictwem słynnego profesora Teodora

Leszetyckiego. Ten polecił go później na posadę nauczyciela gry na fortepianie w Strasburgu. Pierwszy większy sukces odniósł jako pianista w 1887 roku, a w 1888 miał miejsce jego duży koncert w Paryżu. Tam też spotkał i zaprzyjaźnił się z kompozytorem Camille Saint-Saënem. Później przez pewien czas przebywał w Londynie, gdzie koncertował między innymi przed królową Wiktorią. Wielkim sukcesem okazało się jego pierwsze tournée po Stanach Zjednoczonych w latach 1891 - 1892.

Po pierwszych pięciu recitalach Paderewskiego w Nowym Jorku w sali koncertowej Madison Square Garden na 1500 osób okazało się, że miejsc brakowało i trzeba było dostawiać krzesła. Żaden impresario wcześniej nie rezerwowałaby sali na 2800 miejsc, ale „zapotrzebowanie” na Paderewskiego było tak duże, że sponsor trasy koncertowej, firma Steinway, zaryzykowała i zarezerwowała znacznie większą salę właśnie w Carnegie Hall.



Sala w Carnegie Hall na 2800 miejsc w 1891 r.



Program pierwszego koncertu Ignacego Jana Paderewskiego w Carnegie Hall 17 listopada 1891 roku.

Pierwszy koncert Ignacego Jana Paderewskiego w amerykańskim Carnegie Hall z Walterem Damroschem i Nowojorską Orkiestrą Symfoniczną odbył się 17 listopada 1891 roku. Pianista wykonał wtedy „Koncert fortepianowy C-moll, nr 4” Camille Saint-Saënsa, swój własny „Koncert fortepianowy nr 1 op. 17” (była to nowojorska premiera) oraz solo zagrał m.in. nokturn, preludium, walc, etiudę, balladę i polonez Fryderyka Chopina.

Po koncercie „The New York Times” donosił, że

pianista zrobił sensacyjne wrażenie, jakiego nie było od czasów Antona Rubinsteina.

Paderewski przez następne dwa i pół miesiąca szturmem zdobył Nowy Jork, miał jeszcze 11 solowych recitali fortepianowych (w tym trzy w Carnegie Hall), osiem występów z orkiestrami i wiele występów prywatnych. Do czasu jego jedenastego i ostatniego recitalu w Nowym Jorku w Carnegie Hall w tej turze koncertowej, który odbył się 30 stycznia 1892 r. Paderewski miał już tylu wielbicieli, że i w tej sali na 2800 osób zabrakło miejsc i trzeba było dostawić krzesła, aby zmieścić wszystkich chętnych.

Paderewski gra tutaj z ogromnym sukcesem, kobiety szaleją za nim, a krytycy chwala go bez ograniczeń

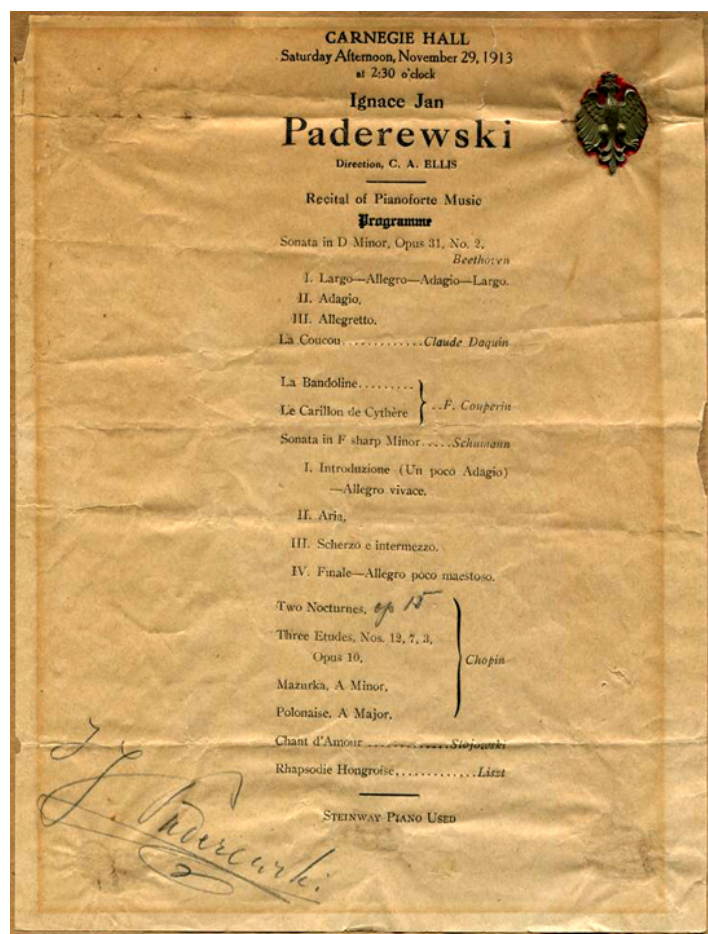
- pisała Helena Modrzejewska do swojego przyjaciela w Warszawie.

Po tak niebywałym sukcesie Paderewski zdecydował się na stałe zamieszkać w USA. Zyskał sobie ogromną popularność, nazywany był największym ze wszystkich, mistrzem, królem pianistów, czarodziejem klawiatury. Podczas koncertowania w USA odniósł kontuzję dłoni, myślał nawet o zakończeniu kariery.

Sprawność dłoni przywrócił mu Friedrich Lange – pionier niemieckiej chirurgii w Ameryce.



Portret Ignacego Jana Paderewskiego z dedykacją dla Waltera Damroscha, fot. arch. Carnegie Hall.



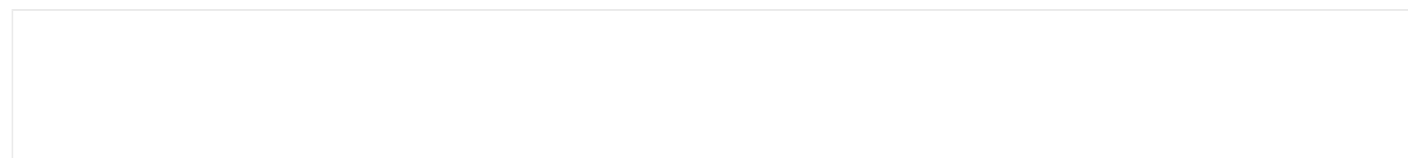
Program z 1913 roku z autografem Ignacego Jana Paderewskiego.

W 1899 Paderewski ożenił się z Heleną Górską, czym sprawił zawód wielu wielbicielkom, córkom milionerów, czy też sławnym aktorkom, które proponowały mu małżeństwo. Pomimo zakupienia dworku w Kąsnej Dolnej w Małopolsce państwo Paderewscy osiedli w Szwajcarii, w posiadłości Riond-Bosson w Tolochenaz koło Morges, niedaleko Lozanny.

Na przełomie stulecia Paderewski skomponował swoją jedyną operę „Manru”. Jej prapremiera odbyła się w Dreźnie 29 maja 1901 roku, a wkrótce zaprezentowano dzieło we Lwowie. Prapremiera amerykańska odbyła się w Metropolitan Opera 14

lutego 1902 r. Odkondu się jeszcze 9 przedstawień w tym samym sezonie, po czym utwór zszedł z afisza i nie został nigdy wznowiony. „Manru” do tej pory pozostaje jedyną operą skomponowaną przez Polaka wystawioną w Metropolitan Opera.

Ignacy Jan Paderewski zagrał w filmie „Sonata księżycowa” w reżyserii Lothara Mendesa w 1937 roku. We fragmencie filmu Paderewski gra słynny Menuet G-dur, op. 14, nr 1, swojego autorstwa.



O tym, że Paderewski do dziś jest legendą w USA świadczy historia opowiedziana kiedyś przez Krzysztofa Pendereckiego. Otóż wielki kompozytor muzyki współczesnej udzielał wywiadu w amerykańskim radio. Dziennikarka z trudem uczyła się wymowy jego imienia i nazwiska „Kristof, Ksstof” – podejmowała próby prawidłowej artykulacji. Po czym zapowiedziała – przed nami Krzysztof PADEREWSKI.

Pianiści

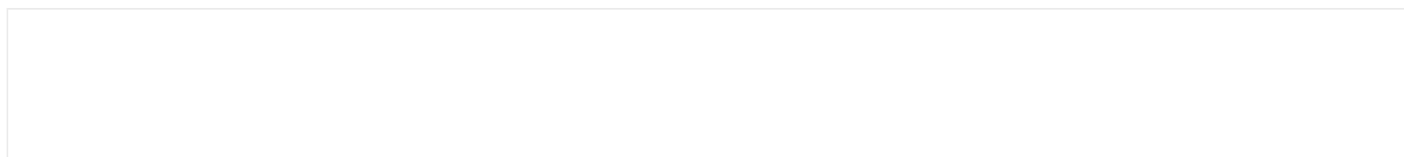
Kevina Kennera uczył od dzieciństwa polski pianista z San Diego Krzysztof Brzuza. Miałam okazję poznać zarówno nauczyciela, jak i ucznia podczas XII Konkursu Chopinowskiego

w 1990 r., kiedy to Kevin Kenner został laureatem II miejsca (I nie przyznano). Krzysztof Brzuza opowiadał mi, że uczył swojego ucznia wrażliwości na Polskę i polskie klimaty, woził w miejsca, które nastrojem przypominały kraj Fryderyka Chopina, opowiadał o specyfice polskiego ducha. Dziesięć lat wcześniej, w 1980 roku przyjechał z młodym Kevinem Kennerem do Polski, aby ten mógł zobaczyć, jak wygląda Konkurs Chopinowski, ale też przede wszystkim, aby mógł poznać ojczyznę kompozytora i wczuć się w dźwięki, które tu się urodziły. Przejechali wówczas kraj śladami Fryderyka Chopina. Kevin Kenner zdobył wtedy wyróżnienie na Konkursie Chopinowskim.

Podczas XII Konkursu Chopinowskiego siedziałam obok profesora Krzysztofa Brzuzy w Filharmonii Narodowej w Warszawie na koncercie laureatów. Kiedy występował Kevin Kenner, obserwowałam skupienie i dumę nauczyciela z sukcesów ucznia.

Wywiad z **Szymonem Nehringiem** przed tegorocznym koncertem w Atlancie ukazał się na początku lutego na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/aspirujac-do-miana-artysty/>



Na podstawie: Wikipedii, materiałów opracowanych przez Polish & Slavic Center w Nowym Jorku, materiałów angielskojęzycznych ze strony Carnegie Hall oraz materiałów własnych.

Zostawić coś w umysłach

O drugiej edycji festiwalu artystycznego „Chopin IN the City”



Grazyna Auguscik, fot. Krystyna Andryszkiewicz

Bożena U. Zaremba

Zawsze myślę, być może naiwnie, że w młodych umysłach coś zostaje

- mówi o swojej działalności na rzecz popularyzacji muzyki Fryderyka Chopina wśród młodego pokolenia **Grażyna**

Auguścik – fascynująca polska wokalistka jazzowa, która już po raz drugi organizuje w Chicago festiwal „Chopin IN the City” (22 lutego – 1 marca 2018 r.), tym razem wraz z Polsko-Ukraińską Fundacją im. Ignacego Jana Paderewskiego. Jest to wielowymiarowe przedsięwzięcie artystyczne łączące różne dziedziny i gatunki sztuki, a motywem przewodnim i głównym źródłem inspiracji jest muzyka Chopina.

A zaczęło się od pamiętnego koncertu w Millennium Park w Chicago, gdzie w 2010 roku Auguścik zaprezentowała 10-tysięcznej publiczności jazzowe interpretacje muzyki Chopina. Skład zespołu był dość nietypowy – cztery puzony, wokół, akordeon, ud (instrument strunowy uważany za przodka lutni) i harmonijka ustna. Gościem specjalnym był **Andrzej Jagodziński** i jego Trio. Wybitny krytyk muzyczny „Chicago Tribune”, **Howard Reich**, który znał działalność artystyczną Auguścik z wcześniejszych, porywających projektów muzycznych i był wielbicielem jej pięknych jazzowych interpretacji, entuzjastycznie zachęcał do tego koncertu. Występ spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności. Niecodzienne, nowoczesne aranżacje muzyki Chopina przemówiły do wrażliwości mieszkańców tego wielokulturowego miasta, a artystka do dzisiaj spotyka ludzi, którzy wspominają ten koncert jako niesamowite, magiczne wręcz przeżycie.

Od tego koncertu, występując stale w różnych formacjach

wokalno-instrumentalnych, Auguścik cały czas marzyła o tym, żeby muzyka Chopina zaistniała wśród szerszej publiczności. Pierwszą edycję festiwalu zorganizowała w 2017 roku, z zamiarem przybliżenia jego muzyki różnym środowiskom i jednocześnie zarażenia i zainspirowania młodego pokolenia. Impreza trwa 8 dni, pomiędzy dwoma przyjętymi datami urodzin Chopina (22 luty i 1 marca) i prezentuje koncerty zarówno klasyczne jak i jazzowe wersje muzyki tego najbardziej znanego na świecie i najbardziej uniwersalnego polskiego kompozytora. Wystąpi między innymi jazzowa pianistka **Deanna Witkowski**, której czarowne, pełne kobiecego wdzięku interpretacje przemawiają do najbardziej nawet tradycyjnych melomanów.

Poza tym w programie są instalacje, prezentacje sztuk wizualnych, poezja, a nawet taniec nowoczesny. Na przyszły rok organizatorka planuje występ teatralny, który dałby młodym ludziom szansę opowiedzenia o muzyce ich własnym językiem, bo, mimo że festiwal jest skierowany do szerokiej publiczności, organizatorka zawsze myśli o stworzeniu projektów skierowanych szczególnie do młodego pokolenia. W tym roku, na przykład, dzieci z „Fabryki Wyobraźni PatriciaArt Studio” będą malować podczas koncertu, inspirowane muzyką Chopina. Odbędą się także warsztaty plastyczne, prowadzone przez polskiego artystę rzeźbiarza **Andrzeja Renesa**.

Jednym z bardziej niekonwencjonalnych artystów, którzy

wystąpią w tym roku będzie **Maria Pomianowska**, ceniona na całym świecie wykonawczyni na starodawnych instrumentach smyczkowych (grała między innymi z Yo-Yo Ma), która zagra na suce biłgorajskiej. Jest to staropolski 4-strunowy instrument smyczkowy, zrekonstruowany na podstawie akwareli Wojciecha Gersona z 1895 roku, a przechodzący w ostatnich latach istny renesans. **Maria Pomianowska** weźmie udział między innymi w koncercie „Mazurki” poświęconemu tej formie muzycznej, podczas którego wystąpi także młody pianista **Alexander Kraft van Ermel**. Wychował się na wyspie Curaçao na holenderskich Karaibach, z którą związana jest niesamowita wręcz historia, opisana w książce Jana Brokkena „Dlaczego jedenastu Antylczyków klęczało przed sercem Chopina?” Otóż okazuje się, że na wyspie Curaçao Chopina można usłyszeć w radiu prawie równie często jak w Polsce. Dotarła ona tutaj za sprawą pewnego pianisty, który przywiózł ją z Paryża już w 1860 roku, po czym przeszła na wyspie nietypową transformację, kiedy lokalni kompozytorzy zaadoptowali mazurki Chopina do tańca. Stąd echa i odcienie muzyki Chopina są wyraźnie słyszalne w tzw. „antylskich mazurkach”.

Sama **Grażyna Auguścik** również wystąpi podczas kilku koncertów festiwalu. Oprócz muzyki Chopina to właśnie jej oryginalny głos będzie elementem wiążącym tego wydarzenia, jak również entuzjazm z jakim podchodzi do organizacji festiwalu, a trzeba przyznać, że posiada fantastyczny dar

wynajdywania niestereotypowych artystów, inspirowania ich do niebanalnych projektów i zarażania ich swoją kreatywnością. Nie zniechęca się trudnościami związanymi ze zbieraniem funduszy zdając sobie świetnie sprawę z tego, jak sztuce niszowej ciężko konkurować z muzyką użytkową, popularną, czy nawet poważną. Zależy jej na dotarciu do młodych ludzi, którym tego typu muzyka jest w ogóle nieznana. – To misja, moja i takich ludzi, jak ja – mówi.

W tym roku festiwal „Chopin IN the City” jest finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Nagrodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021, oraz przez program dotacyjny „Kulturalne pomosty” Instytutu Adama Mickiewicza.

24 lutego będzie można na żywo posłuchać koncertu przez Internet:

https://www.youtube.com/watch?v=_bV-Vwl4W4&feature=youtu.be

Artykuł Howarda Reicha:

http://articles.chicagotribune.com/2010-07-23/-entertainment/ct-ott-0723-mkoj-20100723_1_polish-musicians-vocal-jazz-swings

Pełny program festiwalu:

<http://soundsandnotes.org/event/chopin-in-the-city--february-22-march1-2018/>

Jeżeli chcesz wesprzeć festiwal, tutaj możesz złożyć dotację, którą można odpisać od dochodu:

<https://www.gofundme.com/chopininthecity>



Grażyna Auguścik – wokalistka jazzowa, aranżer i producentka muzyczna – zdobyła uznanie krytyków i wielbicieli muzyki jazzowej swymi oryginalnymi, świeżymi interpretacjami oraz głosem o niepowtarzalnym brzmieniu. Sięga po różne gatunki muzyczne i czerpie inspiracje zarówno z muzyki klasycznej (znane są niebanalne wersje utworów Chopina) jak i z polskiej muzyki ludowej oraz muzyki światowej. Swoim śpiewem i projektami muzycznymi, jakie organizuje, przekracza muzyczne granice, łamie bariery i kwestionuje przyjęte standardy. Urodziła

się i wychowała w Polsce. W 1992 r. ukończyła prestiżową uczelnię Berklee College of Music w Bostonie, po czym osiedliła się w Chicago, które zachwyciło ją bujnym życiem artystycznym i kosmopolityczną atmosferą. Od lat współpracuje z czołowymi muzykami jazzowymi takimi jak Pauhllino Garcia, Jim Hall, Michael i Randy Brecker, Toots Thielemans, Urszula Dudziak, John Medeski, Kurt Rosenwinkel, Michal Urbaniak, Andrzej Jagodzinski, Jaroslaw Bester i wielu innych. Nagrała 20 płyt solowych, a jako gość wystąpiła na kilkunastu nagraniach innych muzyków. Jest założycielką i dyrektorem artystycznym fundacji Sounds & Notes, organizacji typu „non-profit” zajmującej się promocją muzyki i sztuki. Jest laureatką dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2011) oraz srebrnego medalu Gloria Artis przyznawanego przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2017).

Filozof bytu

Z Wilkiem Markiewiczem - malarzem i pisarzem, założycielem i twórcą „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego” w Toronto - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

I nigdy nie doznając

Istotnego znaczenia

Zaczynasz je istnieniem

Kończysz rachunkiem sumienia

(W. Markiewicz, Okruchy bytu, z rozdziału „Życie”)

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od lat pisze Pan aforyzmy, które ukazują się w redagowanym przez Pana portalu internetowym „Vagabond Pages”. Te układające się w ciągi znaczeń myśli, stwarzają obraz rzeczywistości widzianej Pana oczami. Dlaczego według Pana zagadnienia bytu, miejsca człowieka na ziemi, relacji Ja - świat zewnętrzny są z reguły pesymistyczne? Walka o przetrwanie kończy się klęską, a promienie życia są jedynie przerwami w podróży przez piekło?

Wilek Markiewicz: Mój pesymizm wynika z tego, że całe moje życie było borykaniem się. Tak mnie cholera na cały świat brała, że się wyżyłem, pisząc to, co napisałem. To było oczyszczenie myśli i ducha. Mam nadzieję, że moje myśli się komuś na coś przydadzą, że to nie było tylko puste pisanie.

Ktoś mi kiedyś pokazał pewnego domorosłego poetę. Był chyba Bułgarem, nie znałem go osobiście. Mieszkał gdzieś w suterenie, młody człowiek, ale kaleka. Był on ponoć zgorzkniały i złośliwy. Pisał wiersze, które mi się bardzo podobały. Kiedyś napisał: *jak to jest, że moje serce jeszcze śpiewa?*. Ja sobie wtedy pomyślałem – to jest młodość. Gdy się ma 20 lat to serce śpiewa, nawet w więzieniu. Więc kiedy serce przestaje śpiewać? Gdy zaczyna czuć dzień podsumowania, gdy zaczyna być wiecznie niezadowolone, bo to się nie udało, bo tamto się nie udało. Ja mocno przeżywam niepowodzenia, zresztą wszystko mocno

przeżywam. Czasami straszę siebie, co by było gdybym był kimś innym. Może bym został zakonnikiem, popełnił samobójstwo albo bym na wszystko splunął, nie wiem. Ale to nie jest moją naturą. Moją naturą jest działać, moja natura jest wrażliwa na piękno, czy to będzie literatura, sztuka czy muzyka wszystko jedno, ja tym żyję, ja się tym napawam. Tak więc jestem pesymistą, ale jednocześnie jest we mnie pragnienie życia i działania.

JSG: Oprócz publikacji Pana nowel i artykułów w prasie polskiej, hiszpańskiej i francuskiej, prowadzi Pan angielskojęzyczny portal internetowy „Vagabond Pages”, gdzie można zapoznać się zarówno z Pana twórczością literacką, malarską, jak też pracą dziennikarską.

WM: Stronę odwiedza ponad 150 osób dziennie z całego świata. Moje aforyzmy tam umieszczone ukazują się z podaniem źródła na różnojęzycznych stronach internetowych. Fragment mojego artykułu „Dezinformacja jako zbrodnia wojenna” został włączony do książki Gregory James’a „Many a Slip?”, (Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology 2001). To są takie przyjemne drobnostki. Ale ja zawsze szukałem ciągłości. Dlatego fascynowało mnie wydawanie gazety i stałe komunikowanie się z czytelnikami. Ja nie chcę być takim samotnym strzelcem, choć jak dotąd nim jestem. Taki los.

JSG: W zbiorze „Okruchy bytu” bardzo podobają mi się

aforyzmy z rozdziału „Twórczość”. Oddają one sens tworzenia, są głębokie i proste jednocześnie. Oprócz pisania ciągle Pan dużo maluje. Czyli Pan się czuje bardziej pisarzem czy bardziej malarzem?

WM: Mimo, że malowałem niemal od zawsze, oba nurty idą we mnie równolegle. Napisałem kiedyś o sobie: *Kiedy piszę, jestem malarzem, kiedy maluję, jestem muzykiem*. I ja to tak czuję, choć czasem trudno mi to przekazać.

JSG: Czyli nie ważna jest forma, ale istotny jest przekaz wewnętrzny, impuls.

WM: Ważne jest znalezienie tego „czegoś”, co skoncentruje moją uwagę. Ważne jest, żeby forma, kształt czy postać na obrazie mnie się podobała. Czasami poszukuję właściwego odbicia, tego, co jest we mnie. Ale najważniejsze, żeby mnie coś poruszyło, jak prądem. Przychodzi czasami coś, czego nie oczekuję, a to nagle zagra. Wtedy, kiedy maluję, to jakbym pieścił, jakby elektryczny prąd przechodził przeze mnie. „Ona” powstaje na nowo pod moją ręką, jakbym był Bogiem. Oby się to nigdy nie skończyło. To takie fizyczne doświadczenie.

Tak samo jest, gdy myślę, gdy piszę. Czuję wtedy, jakby coś we mnie się stwarzało, coś rosło materialnego, choć tam nie ma materii, tam są tylko słowa. Ale one tak się rozrastają, że tworzą

coraz większą strukturę, jak katedra. Tylko na taki stan nigdy nie można liczyć, że będzie na pewno.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Czy dla Pana twórczość jest ciągłym poszukiwaniem i odkrywaniem tych nie zbudowanych katedr?

WM: Twórczość dla mnie jest działaniem, działaniem i jeszcze raz działaniem. Te tworzące się struktury, są jakby poza mną i moją wolą. Ale teraz zaczynam być w kryzysie, zaczyna mi brakować motywacji. Motywacja też nie była nigdy zależna ode mnie. To było coś, co musiało na mnie spłynąć. Tylko to jest niebezpieczne, bo spłynie, albo nie. Nigdy nie wiadomo.

JSG: A co Pan teraz maluje?

WM: Teraz powstają nowe rysunki, które lubię. W malowaniu trochę przystanąłem. Toronto przestało mnie inspirować. „Wykorzystałem” już wszystko, co mogłem. Namalowałem nawet wyimaginowane ulice z prawdziwymi domami. Więc nie chcę się powtarzać. I czuję, że jestem zmęczony. Trzeba zrobić przerwę i zacząć wszystko od początku. Zaczyna być mi ciężko, bo wydaje mi się, że poznałem już kawał świata i nic już mnie nie zaskoczy. Ktoś kiedyś powiedział – po co komu wyścigi, skoro i tak wiem, że jeden wygra, a drugi przegra. Tak więc pójdę jeszcze na jedną ulicę, zobaczę jeszcze jedną budowlę. I co z tego? Zauważyłem nawet, że mogę pracować bez natchnienia. Ale po co? Na tyle godzin siedzenia, mieć potem zaledwie 5 minut przyjemności. Wiem, że jestem zmęczony, że potrzebuję wakacji, ale też boję się tych wakacji, bo jak długo można siedzieć pod palmą wśród wydm?

JSG: A czy wystawy, nagrody, uznanie ludzi nie dają energii do dalszego tworzenia?

WM: Przychodzą nagrody. No i bardzo dobrze, ale co dalej? Będzie druga nagroda, trzecia i co z tego? Będzie wernisaż, dwa razy na rok, przyjdą ludzie, będą jeść, pić, potem wyjdą. Nie czuję się dobrze w tym wirze wielkoświatowym, systemie zdobywania i nagradzania. Nie wszedłem w ten nurt, za długo

byłem samotnikiem. Ale z drugiej strony nie jestem pustelnikiem. To taka sprzeczność. Jak powiedziała jedna moja przyjaciółka – *Ty jesteś mistykiem i materialistą i oba wcielenia są w złych miejscach.*

JSG: Pana sztuka ma głębokie podłoże filozoficzne. Wszystko obraca się wokół istoty istnienia, bytu, życia, śmierci sensu tej naszej kosmicznej podróży.

WM: Intryguje mnie zagadka samej egzystencji. Idąc w głąb materii, odkrywamy coraz to nowe prawa rządzące komórkami, atomami. Nazywamy kolejny kształt, kolejną mikroskopijną cząstkę i dochodzimy do fali. Ale fali czego? Nie wiadomo. Dochodzimy do końca i dalej nie wiadomo. Trzeba wszystko zaczynać od początku. Bo jak może być fala bez materii. Taki to jest cykl.

Człowiek ciągle za czymś goni, ciągle gdzieś biegnie. Tylko po co? Tak jak w tej rozmowie na wsi dziadka z wnuczką – *musimy „egzystencjalizować”, więc „egzystencjalizujemy”.* Trzeba się w pewnym momencie zatrzymać, bo zaczynamy biegać w kółko. – *Idziemy tak daleko w mądrości, że niedługo złapiemy głupotę za ogon* – jak wyczytałem w graffiti w Genewie.

JSG: Czy Pana wykształcenie, ukończone studia z nauk biologicznych w Genewie, praca w Instytucie zootechniki

pod Paryżem, praca w szpitalu itd., zbliżyły Pana do życia, do natury, do przyrody? Czy stąd to Pana filozoficzne podejście do świata?

WM: Zawsze pociągała mnie biologia. Kocham przyrodę, naturę i ciekawi mnie porządek świata. Tylko nie miałem temperamentu naukowca, raczej filozofa. Powiedziano mi na uczelni, że mógłbym być chirurgiem. Ale operacje, to nie dla mnie. Więc zarzuciłem nauki biologiczne. Uniezależniłem się. Czułem się takim wolnym duchem. Pracowałem gdzieś u chłopca w Hiszpanii. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że czas leci. Jak sobie zdałem z tego sprawę, zacząłem żałować minionego czasu. Stąd ten mój pesymizm. Może to starość.

JSG: Podobno starzeje się mózg, a nie duch. A mózg można ćwiczyć.

WM: Mózg nie jest narzędziem, tylko odbiorcą, przekaźnikiem, jak stacja kolejowa. Wszystko co się w nas dzieje jest fizyczne, a nie emocjonalne. Inteligencja nie jest twórcza, inteligencja jest rekapitulacją. Twórczość jest wtedy emocjonalna, gdy przeżycie jest fizyczne.

JSG: W technikach wschodu, mówi się, że wszystko co się w nas dzieje, zależy od nas samych. Sami musimy znaleźć w sobie swój potencjał.

WM – Zachodnia koncepcja mówi – po 40. my się powtarzamy, a wschodnia – po 70. zaczynamy się uczyć. Ja się zgadzam z zachodnią, z tą różnicą, że są różne formy starzenia się. Nie każdy człowiek starzeje się tak samo, niektórzy nie chcą się zestarzeć i nie chcą umrzeć, inni to akceptują. To jest fascynujący temat. Testuję go na samym sobie. Czy jeszcze mam tę pamięć, czy mam tę siłę, czy jeszcze potrafię? A jak nie, to chyba nie warto żyć.

JSG: Pan tak dryfuje po życiu, jak żeglarz szukający swojej wyspy. Urodził się Pan i mieszkał w Krakowie, ale potem wyjechał Pan do Paryża. Z Paryża skierował Pan swoje loty na studia do Genewy, potem znów znalazł się Pan w Hiszpanii. Żyjąc takim „bohemian life”, jak to się stało, że znalazł się Pan w Toronto?

WM: Powód był bardzo zwyczajny – pamiętałem „Kanałę pachnącą żywicą” Arkadego Fiedlera. Ale wpadłem w sidła. Kiedy przyjechałem do Toronto zastanawiałem się, czy aby Fiedler się nie pomylił? To nie może być Kanada. Przybyłem w gorącym sierpniu, nie spodziewałem się takiego upału. Straszne ulice z drewnianymi słupami, jak z dzikiego zachodu. Wszedłem kiedyś do zakładu fotograficznego, potrzebowalem zrobić zdjęcie dla jakiegoś dokumentu, i widzę na ścianie fotografię panny młodej w ślubnej sukni, a tuż obok niej zawieszony portret wielkiego buldoga tej samej wielkości, co portret dziewczyny.

Pomyślałem sobie: *W Europie nie byłoby miejsca na takie „faux pas”*. Pytam więc dziewczynę obsługującą w zakładzie: *Przepraszam, czy to jej narzeczony?* A ona krzyknęła: *Ach!* i przestała na mnie patrzeć. No, myślę, skoro jeszcze nie straciłem poczucia humoru, to znaczy, że żyję.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak Pan wspomina początki pobytu w Toronto?

WM: Zacząłem od pracy w szpitalu Saint Joseph. Pracowałem tam parę miesięcy. Napisałem potem kilka historii w Vagabond. Święty Augustyn nauczał, żeby dawać pić niemowlętom. Bo on pamiętał prawdziwe pragnienie. Wiele dzieci umierało wtedy z pragnienia. Ja dodałem komentarz: *Do ostatniej chwili dajcie pić umierającym*. To jest z mojego własnego doświadczenia.

JSG: Ale dość szybko zaczął Pan współpracować z polską prasą.

WM: Pamiętam, przyszedłem do „Związkowca” do Bumka Heidenkorna i mówię – słyszałem, że jest tu polska prasa. Tu nie ma polskiej prasy – odpowiedział. – Jak będzie Pan miał pieniądze, to sobie Pan sam założy prasę. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że bez pieniędzy to potem zrobię. Jakiś czas współpracowałem z „Głosem polskim”. Założyłem też kolumnę etniczną w „Toronto Sun”.

JSG: Czy prosto było założyć kolumnę etniczną w kanadyjskiej prasie?

WM: Właśnie powstawała gazeta „Toronto Sun”. Więc się zgłosiłem i zaproponowałem prowadzenie kolumny etnicznej. Powiedziałem, że czytam wszystkie języki słowiańskie, wszystkie

języki romańskie, znam dość dobrze niemiecki, skandynawski rozumiem, a z Koreańczykami mogę rozmawiać telefonicznie. Mój pomysł im się spodobał i mnie przyjęli.

JSG: Na czym polegała Pana praca?

WM: Redaktorzy różnych pism etnicznych przysyłali mi swoje gazety, a ja wybierałem najciekawsze artykuły. Była też prasa polska, ale starałem się jej nie faworyzować. Kolumna ta widać miała powodzenie, bo długo się utrzymała. Była to bardzo wyczerpująca praca, ale dała mi dużo satysfakcji. Przerwałem, gdy miałem już tego dość.

JSG: A jaką gazetą był założony przez Pana w 1972 roku „Kurier Polsko-Kanadyjski”?

WM: „Kurier Polsko-Kanadyjski” działał na podobnej zasadzie, co kolumna etniczna w „Toronto Sun” – trochę tego, trochę tamtego. Dostawałem gazety polonijne z całego świata. Oprócz własnych artykułów i rysunków, zamieszałem artykuły z prasy polonijnej. Wycinałem różne informacje i ciekawostki, naklejałem i drukowałem. Własny materiał drukowałem stosunkowo nowo powstałym offsetem. Ponieważ mam zmysł kompozycji, pomimo, że kolumny były różnego formatu, udało mi się tak strony skomponować, żeby trzymały się tekstu, były ułożone tematycznie i wyglądały efektownie.



„Kurier Polsko-Kanadyjski” – gazeta założona przez Wilka Markiewicza, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak doszło do tego, że w Toronto powstała pierwsza prywatna polska gazeta? Proszę opowiedzieć trochę szczegółów?

WM: Zaraz po przyjeździe do Toronto, pracowałem przez pewien czas jako pomocnik pielęgniarz (orderly) w szpitalu św. Józefa. Jednym z pacjentów na moim piętrze był wówczas polski ksiądz, zdaje się, że był to ks. Kowalski. Kolega – Polak, który pracował ze mną, powiedział mi, że ksiądz ten jest wysoką figurą w hierarchii kościelnej. Rozmawiałem z nim na różne tematy, przy jakiejś okazji zacytowałem mu swoją aktualną fraszkę: *Co to będzie z tego Gierka? Czy to ogier, czy to gierka?* Spodobało mu się, przyjemnie było rozweselić kogoś w szpitalu i pomyślałem

sobie: *Jaka szkoda że nie mam kontaktu z polską prasą, której bym mógł tę fraszkę zaproponować.* Już wówczas nosiłem się z myślą założenia polskiej gazety, lecz w tym okresie współpracowałem z gazetami hiszpańskimi, między innymi z „Correo Hispano-Americano”, który mnie zainspirował do nazwy „Kurier Polsko – Kanadyjski” i z gazetą w języku francuskim „Courrier Sud”. Zanim założyłem „Kuriera”, ktoś mi doradził, może sam ks. Kowalski (?), żebym się skomunikował z jednym księdzem w polskim kościele na Dovercourt. Poszedłem tam i napotkałem młodego polskiego księdza, innego, niż ten, którego szukałem. Gdy mu powiedziałem, że mam zamiar wydać polską gazetę, dosłownie światło ukazało się w jego oczach i rzekł: *Czy wie pan że ma pan piękną ideę?* – powiedział. Widziałem go tylko raz i przelotnie, nie wiem jak się nazywał i gdzie obecnie przebywa. O ile jest w Toronto i przypadkowo przeczyta te słowa, niech wie, że nigdy go nie zapomniałem, te słowa i to światło w oczach zawsze mi dodawało otuchy w ciężkich chwilach. Gdy „Kurier” był już na półkach sklepowych, doszli inni przyjaciele. Może pierwszym z kolei był mec. Aleksandrowicz, którego poznałem niestety tylko przez telefon. Wyraził się z wielkim uznaniem o „Kurierze”, z głosu odniosłem wrażenie, że to bardzo dystyngowany pan. Nie zdążyliśmy się zapoznać, gdyż niedługo później zmarł. Poznałem p. Olbrychskiego, stryja aktora Daniela Olbrychskiego, który się bardzo zbliżył z „Kurierem”. Ostatni kontakt miałem z nim listowny i tragiczny; zawiadomił mnie o lekarskim werdykcie co do swego beznadziejnego stanu. Życzył

mi, by „Kurier” rósł, gdy jego już nie będzie. Pamiętam też przelotne spotkanie, w polonijnym klubie na Beverley, z księdzem, który przyjechał z Polski z wizytą. Z honorów jakie mu czynili kombatan ci wywnioskowałem, że to ważna figura. Zatelefonował mi w następnych dniach z podzięką „za ucztę duchową” , jaką mu sprawił „Kurier”. Dowiedziałem się też z miarodajnych źródeł, że ks. Tischner znał „Kuriera” i zwrócił uwagę między innymi na moje aforyzmy. Oczywiście, że poczułem się uhonorowany i wzruszony, bo wiedziałem o jego złym stanie zdrowia. Dalsze aforyzmy zamieszczałem z myślą o nim, z nadzieją, że znów do niego dotrą. Wszyscy życzliwi ludzie, i ci których wymieniam i ci, których nie wymieniam, ale pamiętam ich szczerozłote serce, dodali mi moralnej otuchy i w wielkiej mierze dzięki nim „Kurier” trwał.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Otaczał się Pan interesującymi, nietuzinkowymi ludźmi.

WM: Różni ciekawi ludzie przewijali się przez redakcję. Czy zna pani Edwarda Dragana? On pracował w Toronto jako szofer ciężarówki. Kawał chłopca. A do „Kuriera” pisał poezję. *Chodził on sobie wciąż po ulicach,/ mówił do siebie niesamowicie/ i modlił się po wszystkich kaplicach,/ takim dla niego było życie.* Tak pisał Edward Dragan. Snobistyczna Polonia go zlekceważyła.

Dlatego broniłem tych, którzy pisali z potrzeby serca. Bo tylko elitarne społeczeństwo, może sobie pozwolić na elitarne pismo.

JSG: Do dziś w wielu sercach istnieje Pan jako twórca „Kuriera”. Jeśli dotrze się chociaż do jednej osoby, która coś przeżyje dzięki nam, to znaczy, że było warto pracować, nawet bardzo ciężko.

Rozmowa została przeprowadzona w Toronto w 2004 r., a uzupełniona w 2010 r. Wiliam Markiewicz zmarł w listopadzie 2014 roku w Toronto.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kurieru Polsko -Kanadyjskiego 1972 -86 – pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim.

Współpracownik Canadian Political News & Life 1988 – 89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano – Americano (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencji NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m.in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Nagrody:

- Nagroda Kanadyjskiego Klubu Dziennikarzy Etnicznych.
- I nagroda i medal miasta Antibes na Międzynarodowej Wystawie Malarskiej na Lazurowym Wybrzeżu.
- Honorowe wyróżnienie na międzynarodowej wystawie malarskiej w Varese (Włochy).
- Honorowe wyróżnienie na wystawie miniatur w Toronto.

- The 2001 Miniature Book Society Distinguished Book Award, USA (za reportaż „Powrót do Paryża”, wydany przez Pequeno Press w USA).

Członek:

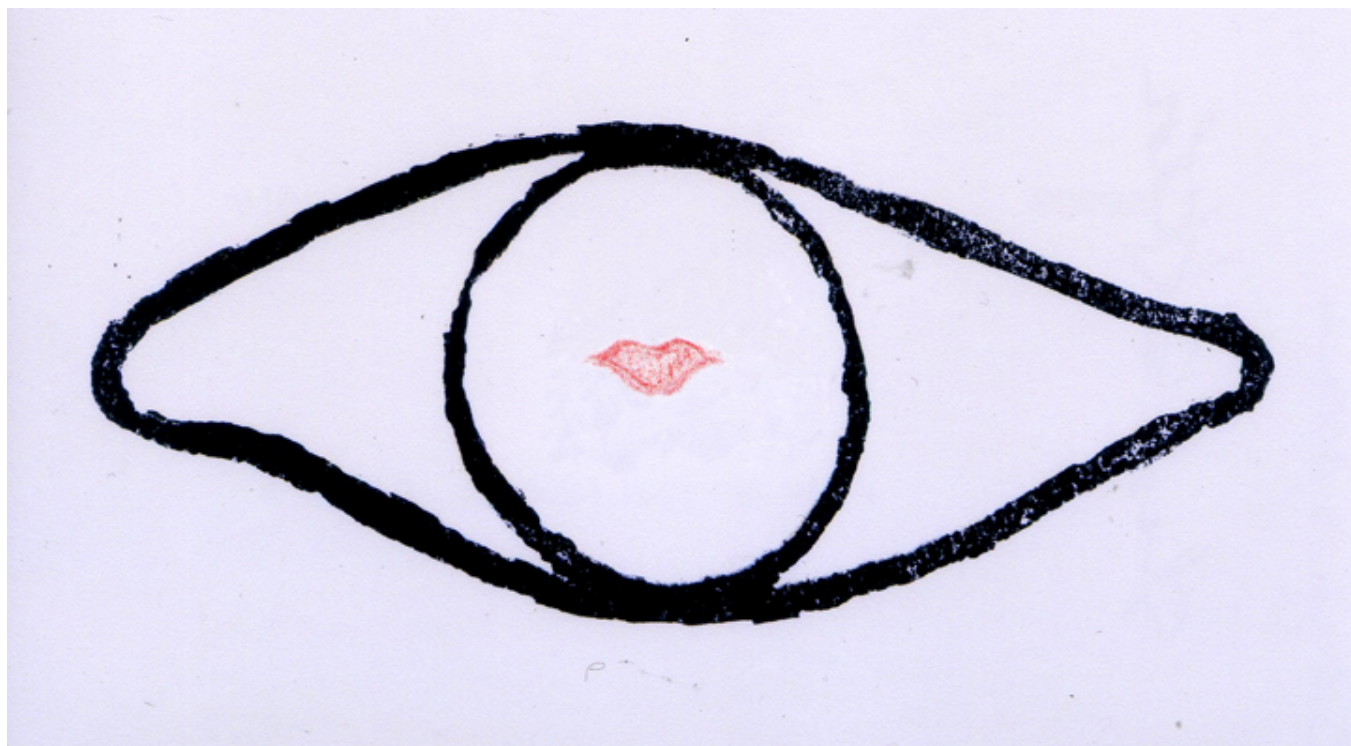
The Philadelphia Print Club,
Toronto Press Club,
Alianza Cultural Hispano – Canadiense.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 – 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip...” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie, wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest

również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak.

„Don Juan” Joségo Zorrilli wciąż aktualny



Wilek Markiewicz, Świat Don Juana, drzeworyt.

Wilek Markiewicz

„Don Juan”, jak „Hamlet”, jest w pierwszym rzędzie analizą psychologiczną osobowości, nie zaś wgłębianiem się w specyficzną sytuację, jak np. „Edyp”, „Elektra”, czy „Romeo i Julia”. Tutaj bohater zмага się w ramach wieczystej ludzkiej kondycji, mimo, że w tym wypadku chodzi o kondycję mniejszego kalibru. Don Juan tylko uwodzi, jakby nie było w życiu innych godnych uwagi celów. Idea „Don Juana” sama w sobie jest frywolna, lecz jest w niej coś, co ją odróżnia od jakiegokolwiek wodewilu erotycznego i zarazem ratuje bohatera przed własną pustką. Nie chodzi mi o część mistyczną i fantasmagoryczną, typową dla epoki autora, lecz o coś bardziej prozaicznego i wieczystego zarazem, powiązanego z osobowością bohatera.

Hiszpański twórca był zawsze mistrzem szkicu realistycznego. Don Juan Zorilli jest zarozumiałym fanfaronem, prostym i szczerym, jak jego przyjaciel Don Luis i jakimi są i będą zawsze rekruci, czeladnicy, studenci itp. Ta fanfaronada bez głębszego podłoża jest typową dla młodzieńczej żywotności. „Don Juan” jest więc swoistym „hymnem do młodości”.

Don Juan jest kompanem do wypitki i do wybitki, prymitywnym bohaterem, jak ci z młodzieżowych magazynów czy awanturnicznych filmów. Zasługą autora jest połączenie podobnego bohatera ze zdarzeniami nadprzyrodzonymi, pełnymi

fantasmagorii. To nadaje dziełu czar nieco anachroniczny i tu porusza autor, jak Goethe, wieczysty temat człowieka o dwóch twarzach, Janusa, istniejącego mniej lub więcej w każdym z nas.

Analizując każdą sztukę, można ją sprowadzić do jej podstawowych punktów. W „Don Juanie” widzę ich trzy. Pierwszym będzie sama sztuka, która, jak każde wielkie dzieło, posiada wartość samą w sobie, poetycką i „muzykalną”, wyrastającą ponad wszelką logiczną analizę. Drugim punktem jest bohater, jego osobowość, zaś trzecim, tło na którym działa, w tym wypadku kobiety.

W „Don Juanie” widzimy kobiety pośrednio, poprzez osobę bohatera. Donia Ines stanowi wyjątek, symbol, prawie że metafizyczny. O ile chodzi o kobiety z krwi i kości, widzimy, że dzieło Zorilli jest trzeźwym spojrzeniem na osobowość kobiety wieczystej, obecnie osiagającej swe wyzwolenie, z upadkiem tabu społecznego i seksualnego. Tym się to objawia, że kobiety wpadają w ramiona Don Juana agresywnie.

Jeśli Don Juan sprawia wrażenie, że dominuje kobiety, to przez swój „fason”. Jest on mniej erotyczny od swych „ofiar”, działając bardziej poprzez pewność siebie niż przez pasję. I tu role się zmieniają niepostrzeżenie. Don Juan osiąga swe cele zbyt łatwo i nie wiadomo czy zdobywa, czy jest zdobyty. Mit Don Juana rzuca światło na wyzwoloną kobietę jutra – naszego dziś – z jej siłą i

apetytami. Dla dzisiejszej kobiety kim jest Don Juan?

Jest to mężczyzna często prymitywniejszy od niej, który żyje – jak ona – w swym własnym świecie, z krótkimi przerwami samotności na polu sypialni, i który okazuje jej tę samą obojętność jak Don Juan na scenie. Ludzie wręcz odwrotnej kategorii, ci zranieni i napięci, nie są w żadnym wypadku Don Juanami. Przeciwnie, wciąż spotykają „Donie Juany”, które dominują ich życie i każą im poświęcać dnię dla nocy. Mężczyzna odwrotny od Don Juana, pokonany, jest reprezentowany w innym arcydziele: „Carmen”.

Czy temat zwycięzca *versus* pokonany, stanowi jedyne źródło inspiracji? Niekoniecznie. Flamenco proponuje trzecią alternatywę; wzajemne wyzwanie, wzajemny triumf protagonistów. Flamenco jest optymistycznym przyrzeczeniem szczęśliwej, miłości, dla wielu wyśnionej.

Artykuł ukazał się także w torontońskim tygodniku „LATINO” w języku hiszpańskim oraz w „Liście oceanicznym” – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto.

Wilek Markiewicz, urodzony w Krakowie kanadyjski artysta, zmarł w Toronto w 2014 r. Filozoficzna rozmowa z Wilkiem na temat sztuki i życia, przeprowadzona w jego domu w Toronto przed jego odejściem, ukaze się w piątek,

16 lutego 2018 r.

Listy miłosne



Antonio Canova, Eros i Psyche, Louvre.

Władysław Pomarański

Jedyna serca i duszy Pocięcho – tak się zwracał w swoich listach

miłosnych Jan Sobieski do swej ukochanej Marysieńki. Czytając je dzisiaj trzeba powiedzieć, że ten nasz powszechnie lubiany król nie tylko był wielki jako wódz, wojownik, kochanek poślubionej żony, ale i prawdziwy poeta, bo listy te brzmią jak poezja. Marysieńka nie była tak wylewna. W jej listach jest dużo sarkazmu, wymówek, przekomarzania się.

W przeszłości i obecnie takie wyrazy miłości to najczęściej dziedzina ludzi wolnych, młodych, zakochanych. W dawnych czasach te autentyczne uczucia często wyrażano listownie, szczególnie gdy przed młodymi piętrzyły się jakieś przeszkody w zbliżeniu się do siebie jak nieżyczliwość rodziców, różnice majątkowe, status społeczny itp. Listy te były piękne nie tylko językowo: były kaligrafowane na pięknym papierze, pachniały perfumami, najczęściej lawendą.

I dzisiaj ludzie zakochani listy piszą: owszem zdarzają się piękne, płynące prosto z serca, ale najczęściej są to zwykłe SMS-y czy inne e-maile, rzadko jest w nich coś porywającego, pięknego, często to przedruk jakiegoś wzoru listu z internetu – po co wysilać mózg! W czasach, kiedy nawet królowie nie umieli się podpisać miało się osobę zaufaną, która zaklęcia miłosne powtarzała słowo w słowo wybrańcowi czy wybrance. Gdy już pismo stało się faktem znanym elitom, pisano na tabliczkach powleczonych woskiem, na papirusie, na papierze, a tenże specjalny posłannik/posłanniczka przejmowali funkcję listonosza.

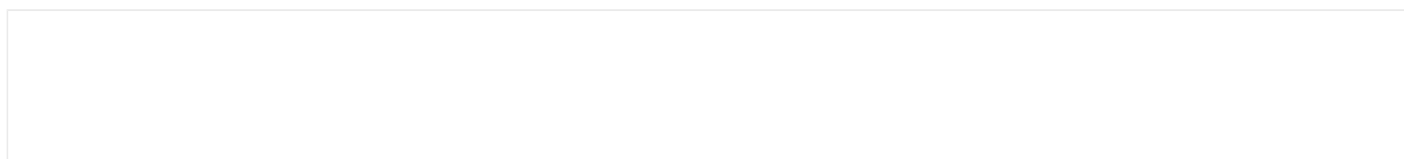
Gdy prawdziwi listonosze pojawili się na Ziemi nie zawsze ich używano do tego celu, bo w owych czasach nie istniało praktycznie pojęcie tajemnicy korespondencji i liściki takie wpadały w ręce osoby niepożądaney – więc dawni zaufani pośrednicy nie tracili pracy.

Egipskie listy miłosne

Już w II tysiącleciu starej ery listy takie pisano w Egipcie, wiemy to z pewnością, chociaż nie dochował się do naszych czasów żaden z nich. W tym okresie kwitła w kraju nad Nilem także poezja miłosna, to też rodzaj listu, co prawda nie skierowanego bezpośrednio do ukochanej czy kochanego, ale jest to entuzjastyczne dzielenie się swymi radościami, upojeniem, fascynacją kochankiem czy kochanką z innymi osobami.

Okruchy tych wyznań miłosnych dochowały się do naszych czasów. Te wyznania adresowane były dla wszystkich co umieli czytać, dlatego miały większą szansę przetrwania: list miłosny skierowywany tylko do jednej osoby niszczone po przeczytaniu, bo chodziło o zachowanie tajemnicy o zakazanej miłości czy miejscu i czasie schadzki; list w formie utworu był bezpieczniejszym medium, bo trudno było zidentyfikować w nim osoby zakochane. Listy pisano też do zmarłych, a nawet bóstw,

prosząc o opiekę, ochronę przed nieszczęściami, itp. Takie listy nie były tajemne. Jeden z nich dochował się do naszych czasów. Był to list z XI wieku p.n.e zakochanego męża Butehamona do swej zmarłej żony Ichati. Zrozpaczony małżonek zastanawia się gdzie teraz znajduje się jego ukochana, do której się zwraca tymi słowami: *o doskonale piękno, którego nie ma gdzie indziej, marzy, by jak najszybciej znaleźć się przy niej.*



Stary Testament

Księga Starego Testamentu Pieśń nad Pieśniami jest wspaniałym poematem miłosnym dwojga ludzi zakochanej w sobie, zinterpretowana przez żydów i chrześcijan jako hymn miłosny człowieka do Boga i odwrotnie. W poemacie występują Oblubieniec, czyli w interpretacji obu religii Bóg, Oblubienica to Naród Wybrany, lub chrześcijanie, ale wystarczy przeczytać tę starożytną perełkę uważnie, odciąć się o narzuconych religijnych interpretacji, by dojść do wniosku, że jest tam mowa o miłości dwojga młodych ludzi, miłości erotycznej, emocjonalnej, partnerskiej, pełnej uwielbienia i wzajemnego poszanowania. Kto nie czytał tej księgi powinien ją przeczytać i rozkoszować się nią! Aż dziw bierze, że ten poemat ma tak wiele pięknych słów o miłości, zauroczeniu drugą osobą, opisie piękna fizycznego i

duchowego tej osoby, tyle wspaniałych porównań itp., to dowód jak język hebrajski sprzed prawie dwu i pół tysiąca lat był bogaty leksykalnie! Ponieważ cały poemat to zachwyt i rozkoszne zauroczenie sobą, można go traktować jako list miłosny, bo to sposób podzielenia się swym szczęściem z innymi. Nie wiemy co spowodowało wejście tego poematu do kanonu świętych ksiąg judaizmu; chrześcijanie automatycznie przejęli prawie w całości kanon żydowski jako także swe księgi święte, a więc wśród nich automatycznie znalazła się Pieśń nad Pieśniami. To prawdziwe cacko literackie. Trzeba mieć jednak dużo wyobraźni, żeby widzieć w tym dziele wyrażenie miłości Boga do człowieka i człowieka do Boga – moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. Oto przypadkiem wybrane kilka zdań: Czy tak może konwersować Bóg z człowiekiem i człowiek z Bogiem?

Słowa Oblubieńca:

Położ mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol (miejsce pobytu zmarłych), żar jej to żar ognia, uderzenie boskiego gromu. Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki.

Słowa Oblubienicy:

Mój miły jest mój, a ja jestem jego ... Na łożu mym nocą
szukałam umiłowanego mej duszy ... Lewa ręka pod głowę
moją, a prawica jego obejmuje mnie ... Niech mnie ucałuje
pocałunkiem swych ust, bo miłość jego przedniejsza od wina.

Listy miłosne pisali Grecy i Rzymianie

Posługiwanie się w nich cytataми literackimi, ba, korzystanie nawet ze schematów listów miłosnych było na porządku dziennym – listy takie traciły przez to świeżość, intymność, niewinność. Niejaki Pseudo-Libanios napisał do użytku publicznego księgę z wzorami takich listów. Oto początek jednego z nich: *Kocham, kocham, na bogów, twą powabną postać*. Pewne chwytły epistolarne wymyślone przez Rzymian i Greków zachowały się do naszych czasów, a szczególnie ten z cytowanego przez poetę rzymskiego Propercjusza (I w.) z listu dziewczyny do chłopca przepraszącą go za łyzy rozmazujące niektóre słowa i koślawe litery, bo jest blisko omdlenia. Na przestrzeni wielu wieków listy rozmazywano nie koniecznie łyżami, a kulfony nie były spowodowane stanem omdlenia, ale po prostu brakiem sprawności w pisaniu. Niejaki Filostratos (I/II

w.) jest już mniej pompatyczny niż jego poprzednicy. Cytuje listy mężczyzn do panien, dojrzałych kobiet, mężczyzn do młodych chłopców, posługując się już słownictwem erotycznym, radzi być erudytą i cytować np. Homera. Niekiedy to zabawna, przekorna rozmowa zakochanych, inne listy chwalą urodę adresata. Urywek z listu do Nicety stał się jeszcze innym znanym wzorcem późniejszych listów:

Zakochanie nie jest chorobą, tylko niekochanie. Jeśli miłość wchodzi oczyma, to ślepi są ci, którzy nie kochają.



Abelard i Heloiza, fot. Edmund Blair Leighton.

Średniowieczni Abelard i Heloiza

Średniowiecze zna wiele par kochanków, nas interesuje ta para,

po której zostały listy. On Abelard, w średnim wieku teolog w szkole która była załącznikiem Sorbony, ona Heloiza, młodziutka, inteligentna i odcytana, podopieczna bogatego wuja, kanonika paryskiej, jeszcze nie tej gotyckiej katedry Notre-Dame. Tenże wuj zatrudnił Abelarda – w owym czasie najsłynniejszego nauczyciela w Paryżu – by udzielał jej lekcji, no i karmił ją cielesnie, gdy na to zasługiwała. Szybko przyszła miłość, odgłosy miłosne początkowo wuj brał za bolesne okrzyki podopiecznej w czasie wymierzania kary cielesnej jako niezbyt pilnej uczennicy, ale pewnego dnia nakrył ich *in flagranti*. Nie nacieszyli się sobą, zadbał o to zazdrosny o młodkę wujaszek (chyba ją szykował na własną kochankę) i by postawić kropkę nad i nakazał bandytom pozbawić Abelarda męskości, a Heloiza została zamknięta w klasztorze. Ale nieco przedtem Abelard po dowiedzeniu się, że Heloiza jest w ciąży, wykrada ją z domu kanonika, wiezie do siostry do Normandii, tam rodzi syna wychowywanego przez siostrę Abelarda. Potajemnie wzięli ślub: Abelard nie mógł się przyznać do stanu małżeńskiego, bo wtedy straciłby prawo nauczania teologii i filozofii. Kochali się do śmierci miłością coraz bardziej uduchowioną, ich listy wypełniały pustkę spowodowaną rozstaniem. W listach poruszają nie tylko temat swoich uczuć i przywiązania wzajemnego, dyskutują swoje pojmowanie sensu życia, wiary, winy, małżeństwa. Listy pisane były po łacinie. Przetłumaczył je na język francuski filozof naturalista Jean de Meung. Kiedyś fascynowała mnie ta niesamowita para, wiele na te tematy czytałem, przeczytałem

listy w tłumaczeniu francuskim i polskim. Nie ma tu miejsca, by szerzej rozwinąć wątek tej wspaniałej miłości, ograniczę się tylko do dwóch krótkich cytatów z listów Abelarda i Heloizy. Cytaty są wzięte z dość wczesnego ich tłumaczenia na język polski. List Abelarda był adresowany do przyjaciela, dostał się przypadkowo w ręce Heloizy; nawiązuje w nim do faktu udzielania lekcji dziewczynie:

Rozłożywszy zatem księgi o wiele rzadziej rozmawialiśmy z sobą o kochaniu niż o nauce. Więcej było całunków niż uczonych wywodów. I częściej ręce dotykały łona niż kart księgi. O wiele częściej miłością płonące źrenice spoczywały na licach dziewczyny niż na martwych literach. W miłosnym roznamiętnieniu nie zaniechaliśmy żadnych objawów kochania, ale najdziksze nawet podszepty rozigranej wyobraźni spełnialiśmy.

Pierwszy list Heloizy do małżonka po rozstaniu jest mniej cielesny, bardziej uduchowiony, kobiecy, serdeczniejszy. Oto krótki cytat:

Tym żywiej jestem godna pamięci, iżem Cię zawsze, jak każdy przyzna, kochała miłością bez granic. Ty wiesz najlepiej, mój miły, i wszyscy wiedzą, że tracąc Ciebie

stradałam wszystko... Jeślisz sam stał się przyczyną nieszczęścia – stań się też ostoją i przyczyną wesela. Ty tylko jeden zasmucić mnie możesz, Ty tylko jeden pocieszyć, Ty tylko zelżyć mą żalność.

Abelard i Heloiza żyli we Francji; tam ludzie w każdym wieku mieli więcej luzu w tych i innych sprawach, poza tym Abelard całe życie walczył z biskupami i kanonikami, miał dystans do tego co oni reprezentowali. Heloiza trzymana krótko i niejednokrotnie bita przez wuja kanonika, nabrała dystansu do wszystkiego co moralność kościelna ucieleśniona w tym złym człowieku nakazywała czy zakazywała. Francja jest także krajem, który był kolebką dość odważnej jak na owe czasy poezji miłosnej, poezji trubadurów. Co prawda mniej więcej w tym samym czasie po drugiej stronie Pirenejów tworzoną wspaniałą poezję miłosną w języku arabskim i pisano listy w tym stylu, ale o tym reszta Europy nie wiedziała, nikt prawie nie znał tego języka. Mój przyjaciel Florian Śmieja wydał tomik tej poezji w języku polskim w swoim tłumaczeniu, niestety tłumaczył te wiersze nie z oryginału, ale z tłumaczenia hiszpańskiego.

Seksualna moralność europejskiego średniowiecza

Była to moralność restrykcyjna, to były przede wszystkim zakazy. Kilku tzw. Ojców Kościoła, którzy po sobie zostawili ciekawe i mądre pisma, w sprawie współżycia seksualnego, nawet w małżeństwie, byli bardzo surowi, i to jeszcze w czasie, gdy celibat nie obowiązywał w Kościele. Seks w małżeństwie owszem, ale tylko dla prokreacji, żadnych pieszczot, żadnych innych pozycji we współżyciu poza tzw. misjonarską, nie można szukać w nim żadnej przyjemności, bo to już grzech ciężki. Czytając ich pisma na ten temat trudno się oprzeć wrażeniu, że ci ludzie mają rodzaj żalu do Pana Boga, że w tak „wstrętny” sposób odbywa się poczęcie człowieka. Był to, nie tylko moim zdaniem, wpływ religii Bliskiego Wschodu, zoroastranizmu, pojawiającej się w Kościele w kilku okresach jego dziejów jako różne formy manicheizmu, który w Europie zainfekował nawet tak wielkich ludzi jak największego prominenta chrześcijaństwa wczesnego średniowiecza św. Augustyna z Hippony – musiał przejść długą drogę, by otrząsnąć się z tych wpływów: wystarczy wczytać się w jego *Wyznania*, by się o tym przekonać. W jednym zdaniu powiem, że główną tezą manicheizmu i jego późniejszych mutacji było to, że ciało jest tworem złym, tworem szatana, trzeba pościć, pokutować, zadbać o duszę. Ponieważ różne grupy manichejskie posunęli się do tego, że odrzucali autorytet Kościoła, były wyniszczane, mordowane. Taki los spotkał pod koniec IV wieku wyznawców tego typu religii, pryscylian oraz jeszcze większe ludobójstwo katarów, (najbardziej znanymi ich grupami byli waldensi i albigensi) w XI-XIII wieku.

Początek zmian w patrzeniu na miłość i seks

Pod koniec średniowiecza, a szczególnie nieco później w okresie renesansu, za przykładem wielu rozpustnych papieży ich owieczki też zaczęły patrzeć na miłość fizyczną innymi oczyma: zaczęto bardziej słuchać i naśladować to co starożytni mieli do przekazania, niż oficjalnej nauki Kościoła w tych sprawach. W listach miłosnych pojawiają się elementy rozkoszy, cielesności, jak choćby w tym anonimowym liście z XV wieku:

Jak wielkich rozkoszy są źródłem Twoje piersi, tak czystą jaśniejesz pięknnością, ciało twe tak pełne wilgoci, ma niewysławiony zapach.

W Polsce w bilecikach miłosnych pojawią się erotyczne treści dość późno. Pierwszy ze znanych takich polskich liścików z początku XV wieku jest dość oględny w wyrażaniu uczuć z racji rozstania kochanków:

A tako z tobą się rozstając, serce me jęło bardzo płakać, a ja takoz ślubuję twej miłości nie zapominać.

Co prawda kochankowie zaczynają wspominać tu i tam o „pierzynce”, „spólnych zabawach”, ale dopiero w XVII wieku, w czasach największego dobrobytu (przynajmniej w klasach uprzywilejowanych) i potęgi politycznej Polski, epistolografia miłosna staje się bardziej cielesna, bardzo pompatyczna, a ponieważ nasz język jeszcze nie posiadał wielu intymnych wyrażen, wciskano więc do listów słowa przeważnie francuskie.



Jan III Sobieski z żoną Marysieńką, fot. Wikipedia.

Jan Sobieski zakochany we własnej żonie

Dawał sobie radę nasz król Sobieski w doborze polskiej terminologii w listach do kochanej Marysieńki. Pisał z konieczności po polsku, choć ona była Francuską – bo jak twierdził „nie miał głowy do języków” – ona natomiast odpisywała mu na jego listy używając francusko-polskich sympatycznych makaronizmów. Ten silny mężczyzna żyjący w czasach, kiedy współżycie z kobietą uznane było wprost za konieczność życiową by unikać różnych chorób, trwał we wstrzemięźliwości, gdy był zdala od niej; skarży się tylko, że ten przymusowy celibat bardzo mu dokucza, że cyrulik upuszcza mu od czasu do czasu krew, która z racji na to oddalenie jest czarna jak smoła. Jego listy są wprost rozkoszne, jeśli kogoś czytającego nie razi ich zbytnio rozhuśtany styl. Oto krótki wyjątek z jednego z nich:

Ja już ledwo żyw bez tego, moja duszko, ani spać, ani jeść, ani pić, ani chodzić, ani siedzieć niepodobna, żeby to milion razy na myśl przyjść nie miało, ale do ślicznej tylko muszeczki, którą całuję milion milionów razy i wszystkie śliczności dobrodziejki mojej, od nóżki aż do ślicznej gębusieńki.

Napoleon

Innego wielkiego wodza, cesarza Napoleona, też stać było na słowa miłości i przywiązania, dodam, że nie zawsze szczerze. Do swej drugiej żony Marii Ludwiki Austriackiej, młodszej od niego o 22 lata, tak pisze:

Proszę wierzyć, że nie ma nikogo na świecie, kto byłby tak do Pani przywiązany i tak chciał Panią kochać jak ja.



Maria Walewska

To było zwykłe zauroczenie Napoleona młodym ciałem, to nie była miłość, było to czysto polityczne małżeństwo. Cesarstwu chodziło przede wszystkim o to, by Napoleon przestał z nim walczyć. Ona pamiętała, że jej dalszą ciotkę, małżonkę Ludwika XVI, rewolucjoniści uśmiercili na gilotynie, a Napoleon w tym czasie zaczynał swoją karierę wojskową, służył Rewolucji, był w jakimś stopniu współodpowiedzialny za tę okrutną śmierć.

Cesarzem ogłosił się sam, wbrew wszelkim zwyczajom, tradycji. Sam nałożył na swą głowę koronę cesarską. Chciał, by go świat uznał za cesarza, chciał stać się założycielem dynastii cesarskiej, więc jego dzieci musiały się narodzić z prawdziwej córki cesarskiej. To było powodem rozvodu z jego pierwszą cesarską małżonką Józefiną, chyba jedyną kobietą, którą tak po żołniersku, po korsykańsku kochał. Ta druga cesarzowa, Maria Józefina, owszem, dała mu syna, którego tatuś nazwał Napoleonem II; ten nigdy nie zasiadł na tronie, był chorowity, umarł młodo w wieku 21 lat, co dla historyków nie jest żadną niespodzianką, bo już od kilku wieków u Habsburgów, zniszczonych genetycznie przez małżeństwa w rodzinie, była to raczej reguła niż wyjątek, że dzieci nie chciały przychodzić na świat, a gdy się rodziły, były najczęściej obciążone genetycznie. Nie kochała Napoleona, po jego upadku wyniosła się z Francji do swej posiadłości, wyszła ponownie za mąż, o ojcu swego dziecka zapomniała kompletnie.

Zanim Napoleon pojął za żonę córkę cesarską miał oficjalną żonę

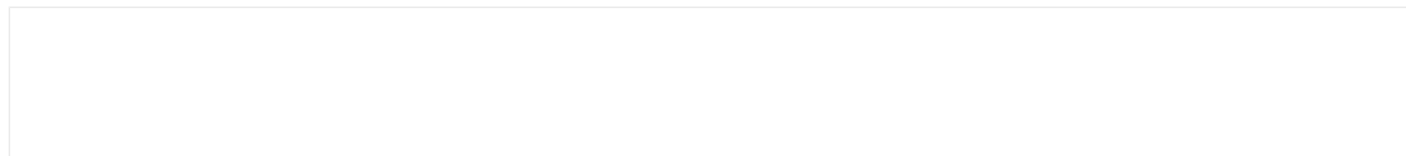
także z tytułem cesarzowej, wspomnianą Józefinę de Beauharnais, sześć lat starszą od niego. Współżył z nią (i z Marią Walewską) gdy był oficjalnie związany z Habsburżanką. Było to burzliwe małżeństwo, zdradzali się na lewo i prawo, ale po swojemu kochał ją; gdy wracał po klęsce w Rosji, już spod Smoleńska to do niej wysyła posłańca, a nie do aktualnej żony, żeby się nie myła, bo jest spragniony jej miłości (taki sobie dziwny fetysz), a jego ostatnie słowa przed śmiercią miały być: „Ojczyzna, Armia, Józefina”. Tuż przed ślubem tak do niej pisze:

Słodka niezrównana Józefino, co za przedziwny czar powodujesz w mym sercu, przesyłam tysiąc całusów, ale nie oddawaj mi żadnego, bo to powoduje, że moja krew zaczyna wrzeć.

Pisał do niej codziennie, choć, jak wspomniałem, to było dość trudne małżeństwo. Nie zapomniał, że jej zawdzięcza swą karierę, bo ona po utracie zgilotynowanego męża stała się kochanką głównego dyrektora Rewolucji po śmierci Robespiera, Paula Barrasa. A może ocaliła mu życie, bo przez dwa tygodnie był więziony oczekując na decyzję sądu rewolucyjnego o swym losie, jako że był z zażyłach stosunkach z młodszym Robespierrem. Barras, chyba pod wpływem sugestii kochanki, uznał, że będzie przydatniejszy żywy, niż martwy, dzięki niemu i Józefinie prawdopodobnie uniknął spotkania ze słynną gilotyną

paryską.

Napoleon miał zdrowego syna z Marią Walewską, wyposażył ją i syna; o nim historia szybko zapomniała, bo z racji na mamę nie był materiałem na cesarza. Gdy go Maria z synem, w towarzystwie swego brata, odwiedziła jako wygnańca na Elbie, musiała udawać, że jest Marią Ludwiką, a jej syn synem cesarzowej – nie chciała tej już zachodzącej w historii Europy gwieździe psuć reputacji, że ma dziecko z tak nisko znajdującą się na drabinie społecznej kobietą, bo tylko szlachcianką.



Listy miłosne w okresie romantyzmu

Na przełomie wieków XVIII i XIX Europą zawładnął romantyzm – prąd ideowy, literacki i artystyczny, który mocno zmienił patrzenie na świat i wgląd we własną duszę. Wśród wielu słów i pojęć, niektórych nowych, innych przywróconych do użytku, słowo miłość stało się znowu bardzo modnym. Teraz ktoś, kto się nie kochał, uważany był za niepełnego człowieka. Począwszy od carycy, jej kochanka króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, poprzez innych wielkich tego świata, wszyscy poświęcali miłości swój czas, o niej dużo pisano, była na ustach każdego. Jednym ze słynnych kochanków romantycznych był poeta angielski lord

Byron. Jego miłostki trudno by było policzyć na palcach rąk i nóg. Gdy jednak jego młodziutka siostra w liście wyznaje mu, że jest zakochana, brat dziwnie na to reaguje. Chyba był nieszczerzy, a może znudziły się jego liczne miłostki, więc by uchronić kochaną siostrę, niedoświadczoną w tej materii od przyszłych kłopotów, tak jej odpowiada:

Miłość, moim skromnym zdaniem, jest zupełną niedorzecznością, niczym więcej jak paplaniną złożoną z pochlebstw, urojeń i oszukaństwa.

Drugi z dwóch największych poetów romantycznych Wielkiej Brytanii John Keats pisywał piękne, natchnione listy do swej wybranki. Będąc w Rzymie odwiedziłem jego skromny grób, zapomniany przez prawie wszystkich z wyjątkiem niektórych ludzi pióra z Wyspy.



Zygmunt Ajdukiewicz, Tadeusz Kościuszko uczy Ludwikę Sosnowską.

Pierwsza miłość Kościuszki: Ludwika

W literaturze romantycznej można znaleźć setki pięknych, natchnionych listów miłosnych. Nie sposób ich tutaj nawet wymienić, skoncentruję się jeszcze na Polaku, żyjącym na przełomie klasycyzmu i romantyzmu, Tadeuszu Kościuszcze. Był początkowo biednym szlachcicem „bez ziemi”, bo połowę wioski, która została dla niego po ojcu, zarządzał brat Józef; ten zaprzepaścił całą dziedziczną posiadłość swoją i brata. Mimo tego miał niesamowite wzięcie u kobiet. Jego pierwsza i

największą miłością była Ludwika Sosnowska. Był jej nauczycielem głównie matematyki, a równocześnie planował ogrody w posiadłości jej ojca. Zakochali się w sobie. Ojciec, który dorobił się na różnych przekrętach i donosicielstwie do carycy, nie chciał przystać na ich małżeństwo. Postanowili uciec, ale tata czuwał. Jego służba schwytala uciekających, poturbowali mocno Kościuszkę. Ludwika, która przyrzekła Kościuszcze dozgonną miłość, schroniła się do klasztoru przed niechcianym małżeństwem zaplanowanym przez ojca. Zza furty klasztornej nie można jej było porwać, bo to byłoby zbezczeszczeniem miejsca świętego, a z Kościołem i wtedy nikt nie miał odwagi zadzierać. Użyto więc podstępu powiadamiając ją o śmierci w rodzinie i w drodze na cmentarz tatuś porwał ją i oddał za żonę magnatowi Józefowi Lubomirskiemu. Ona była, jak na owe czasy, już starą panną, miała 25 lat, jej kochanek Kościuszko był trzydziestolatkiem. Ludwika nie miała wyjścia, musiała wyjść za Lubomirskiego z zastrzeżeniem, że tylko ciało będzie należało do niego, dusza jej jest oddana do śmierci komuś innemu, co dla małżonka nie było żadną przeszkodą. Nastąpił okres czułych listów między dawnymi kochankami, Lubomirski studził te zapędy przez powodowanie wielokrotnej ciąży – urodziła mu kilkoro dzieci. Jej syn Henryk z tego małżeństwa był wyjątkowo ślicznym dzieckiem.



Księżna Marszałkowa Izabela Lubomirska z posągiem Henryka Lubomirskiego.

Zobaczyła go pierwsza dama w Królestwie, najbogatsza kobieta Polski, zauroczyła się dzieciakiem (była wtedy wdową, urodziła tylko kilka dziewczynek). Była to Elżbieta Czartoryska, po

wyjściu za mąż wolała używać swojego drugiego imienia, a więc od tej pory była znana jako księżna Izabela Lubomirska. Przejęła po prostu chłopca jako własne dziecko od innej biedniejszej Lubomirskiej, wspomnianej Ludwiki. To też była tragedia życiowa dla tej drugiej, no ale pierwszej damie Rzeczypospolitej niczego się nie odmawia, nawet faktycznej utraty dziecka, bo Henryk jako dzieciak i dorastający młodzieniec z prawdziwą matką chyba się się kontaktował. Bogata Lubomirska zjeżdżała z nim całą zachodnią Europę (miała kilka pałaców nie tylko w Polsce, wśród nich pałac w Nałęczowie i Wilanów, ale i w kilku stolicach europejskich). Henryczka portretowali, malowali, rzeźbili najwybitniejsi malarze i rzeźbiarze Europy. Jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy klasycyzmu Antonio Canova stworzył rzeźbę Henryka jako nagiego bożka Erosa – był to raczej Erosik, bo reprezentował go dziewięcioletni chłopiec. Chłopca niejednokrotnie rozbierano do naga musiał tak godzinami pozować także przy innych jego wcieleniach w różne postacie mityczne. Gdy stał się pełnoletnim przybrana matka ożeniła go z bogatą Czartoryską i wywianowała swoimi posiadłościami. Dziwna rzecz, człowieka tego nie zmanierowały szaleństwa tej kobiety, stał się szanowanym działaczem politycznym na rzecz Polaków w zaborze austriackim, mecenasem sztuki i polskiej twórczości literackiej. Dla Ossolineum we Lwowie przekazał 2200 cennych druków i założył w tym mieście Muzeum Lubomirskich. Do śmierci był bardzo przystojny – widziałem go na kilku reprodukcjach jego portretów

już jako człowieka dojrzałego. Wspaniały człowiek i Polak!

Wróćmy do Ludwiki i Kościuszki. Listy się skończyły, ale nie skończyła się szalona miłość do Tadeusza. Dzięki jej cichej protekcji u króla przyjęty został z powrotem do armii po powrocie z Ameryki. Już jako prawie niewidoma staruszka płakała, gdy słyszała jego imię. Wcześniej Kościuszko po opuszczeniu Polski kontynuuje w Paryżu studia inżynierii wojennej, a po ich skończeniu wyjeżdża do Ameryki, by pomóc w walce o wolność rodzącym się Stanom Zjednoczonym. Wrócił do kraju w glorii zwycięzcy, wyzwoliciela, człowieka, który upokorzył nie lubianych, także i w owych czasach, Anglików.

W Polsce stał się twórcą i szefem powstania – ostatni taki desperacki krok, by ratować Polskę. Mając 38 lat, stał się prawdziwą gwiazdą, ludzie gromadzi się do niego; gdy zjawiał się we Lwowie rzesza kobiet rzuciła się na niego odrywając mu guziki od munduru i odcinając jego pukle. Największe magnatki Rzeczypospolitej ofiarowywały mu swoje córki za żony. On chyba jeszcze nie zapomniał o swej pierwszej miłości, poza tym miał plany, by się oddać bez reszty ratowaniu Rzeczypospolitej. Odmówił pierwszej damie kraju Izabeli Lubomirskiej ofiarowującej mu za żonę jedną ze swych córek; musiał odmówić hrabinie Konstancji Zamoyskiej, która chciała oddać mu za żonę czternastoletnią córkę Annę. Te odmowy nie zrażały jednak wielkich pań, co więcej, w ich umysłach rosła jego estyma, że dla

dobra Rzeczpospolitej wyrzeka się takich wspaniałości jak ich córki.

Drugie zauroczenie Kościuszki: Tekla

Czas biegł, pierwsza miłość Kościuszki powoli odeszła „za góry, za lasy”, wtedy nasz bohater zakochuje się po raz drugi w 1791 roku w osiemnastolatce Tekli Żurowskiej. Spotkali się na południu Polski w Międzybożu, gdzie generał stacjonował ze swoim pułkiem i gdzie pojawili się Żurowscy w celu leczenia jakiejś choroby tatusia u słynnego lekarza tu rezydującego. Znudzona panna zaczęła słać liściki, coraz to odważniejsze, do Kościuszki. On już w średnim wieku (miał wtedy 45 lat) zakochał się w niej, była to jego druga miłość, choć nie druga kobieta w jego życiu. Tatuś panny przerażony tym co się święci rezygnuje z opieki lekarskiej, w otoczeniu dużego kordonu wojskowych, by Kościuszcze nie przyszła pokusa porwania córki, opuszcza Międzyboże. Tak się skończyła ta przygoda, nie ustały jednak listy zakochanych. W jednym z nich Kościuszko tak pisze do Tekli.

Cały mój umysł pomieszany, gorycz w mem sercu i czuję

gorączkę szarpiącą me wnętrzności. Idź spać i zaśnij w myślach tobie miłych... przytul głowę do spokojności poduszek, otwórz swe piersi z serca do ucałowania przez mnie.

To powodzenie generała u kobiet zaintrygowało nawet carycę Katarzynę, jedną z największych ładacznic swoich czasów. Gdy znalazł się w niewoli wypytała go o najdrobniejsze szczegóły dotyczące jego spraw męsko-damskich poprzez śledczego, między innymi o to, które to wielkie panie chciały oddać mu swoje córki, dlaczego nie korzystał z tak hojnych darów. Kościuszko, „dla zmylenia przeciwnika” uparcie twierdził, że nie korzystał z ofert, bo miał zamiar ożenić się z bogatą, starszą od siebie owdowiałą panią Potocką.

Konkludując

Na przestrzeni dziejów piękne listy miłosne pisali ludzie wielcy i sławni, poza wymienionymi setki innych, na przykład Beethoven do niezidentyfikowanej do dzisiaj kobiety, Fryderyk Chopin do kobiet które kochał, Winston Churchill do swej żony w czasie rozstanie podczas wojny; a także ludzie podli, którzy zeszli z tego

świata jako super-zbrodniarze; dobry przykład to czułe listy do żony i dzieci Heinricha Himmlera – prawej ręki Hitlera w eksterminowaniu nie tylko Żydów. Pisali takie listy ludzie nikomu nieznani, prości; dopiero ich dzieci lub wnuki, po odkryciu tych listów gdzieś na strychach czy w piwnicach domów publikowali je – są równie piękne i wzruszające jak listy tych osób na świeczniku.

Dzisiaj tak pięknych, płynących prosto z serca listów prawie nikt nie pisze. Prawie nikt, bo są chlubne wyjątki. Oto urywki z pięciu takich autentycznych i szczerych listów:

Ja dzięki Tobie żyję. Ty mi pomogłaś narodzić się ponownie. Teraz znowu umiem kochać i marzyć... Kiedy jesteś blisko, to cały świat znika. Przy Tobie jest wszystko lepsze, cudowniejsze. ... Każda chwila, którą muszę spędzić z dala od Ciebie wypala moje wnętrze. Tak bardzo pragnę się do Ciebie przytulić, głaskać Twoje miękkie włosy i okrywać pocałunkami cudowną twarz... Przy Tobie pięknieje świat.